Rok założenia 1933 (XXXII) • Lublin 1—15.XI.1965 Nr 20 (330) • cena 2 zł

Kamena

BIAŁYSTOK
KIELCE
LUBLIN
RZESZÓW

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO—KULTURALNY

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

W numerze m. in.

- Zamek lubelski
- Z Chełma nad Odrę
- Reportaż o molach gardzących futrami
- Pałac cór Mnemosyne
- Cmentarz przy Lipowej
- Jak ustrzec się cholery?

MIROSŁAW DERECKI

KAPITAN KLOSS i worek ze złotówkami

RZECZ dzieje się między Bugiem a Odrą. Ściślej: w Lublinie. W Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej.

Prezes nie miał odpowiedniego gabinetu. A prezes bez gabinetu, to jak żołnierz bez karabinu. Aby więc uzbroić się „lokalowo", prezes nakazał wynieść ze świetlicy telewizor i radiolę. Biurko, fotele oraz zielona, rozłożysta palma w donicy zmieniły pomieszczenie nie do poznania.

Jednocześnie Spółdzielnia zaoszczędziła 6000 złotych rocznie, pozbawiając dodatkowego wynagrodzenia pewnego pracownika fizycznego, który w owej świetlicy w godzinach popołudniowych krzewił kulturę.

Spółdzielnia ma swą siedzibę niemal w centrum dwustutysięcznego miasta — przy ul. Lubartowskiej. Odległość od Wojewódzkiego Domu Kultury (i poradni kulturalno-oświatowej), Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych (i referatu kultury WKZZ) a także Wydziału Kultury Prez. WRN nie przekracza 1000 metrów. Łatwiej jednak niekiedy słoniowi przejść przez ucho igielne...

Na pozór wydaje się, że mechanizm tego, co zwykliśmy nazywać upowszechnianiem kultury działa u nas na dość prostych zasadach. Ministerstwo — Wydział Kultury Prez. WRN — Wydział czy też Referat Kultury Prez. PRN, MRN itd. — w dół. Wspomniane placówki są jednostkami kierującymi działalnością kulturalną na szczeblu krajowym, wojewódzkim, powiatowym, miejskim etc. Kierującymi, a jednocześnie kontrolującymi.

W kraju mamy jednak dziesiątki tysięcy różnego rodzaju fabryk, instytucji handlowych, spółdzielczych, małych i większych zakładów pracy, które z racji swej działalności produkcyjnej Ministerstwu Kultury i Sztuki nie podlegają. Ale te fabryki, instytucje handlowe, spółdzielcze dysponują klubami, świetlicami, które mają za zadanie spełniać rolę placówek typu kulturalnego. Są na to pieniądze, są etaty dla pracowników kulturalno - oświatowych. Etaty zajmują ludzie, którzy niejednokrotnie z kulturą nie mają nic wspólnego (przykład Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej), ludzie, którzy niejednokrotnie ignorują zalecenia wydziałów kultury. Wychodząc z założenia, że od nich nie biorą pieniędzy.

Jak wygląda w praktyce ta działalność kulturalna? Odwiedziliśmy trzy zakłady: Okręgową Spółdzielnię Mleczarską, Lubelską Fabrykę Maszyn Rolniczych i Wojewódzki Związek Spółdzielczości Pracy — w tym zestawieniu największego potentata.

Wycieczka na Mazury

Okręgowa Spółdzielnia Mleczarska nie ma już świetlicy, chociaż, podobno, myśli się o lokalu zastępczym. Spółdzielnia rocznie przeznacza na cele kulturalno - oświatowe 35 tysięcy złotych. Na co się je wydaje?

Reporter notuje:

— ...Kupujemy pracownikom bilety do teatru i operetki. Ostatnio dopłaciliśmy połowę ceny do biletu na „Popioły"... Urządzaliśmy, jak była świetlica, wieczorki taneczne, „andrzejki"...

— Jakieś odczyty, spotkania?

— Mooooźna by, jak będzie świetlica.

— I co jeszcze?

Indagowany namyśla się. Wreszcie mówi z rozjaśnioną twarzą:

— Byliśmy na wycieczce. Na Mazurach. Kosztowało to nas 12 tysięcy złotych.

— Ile osób pojechało?

— Dwanaście.

— I to już wszystko?

— Wydaliśmy jeszcze trochę pieniędzy na autokar. Trzy razy jeździł do naszego ośrodka wczasowego nad jeziorem Białym. Woził rodziców i dzieci...

„Komasują i w ogóle..."

Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych. 850 pracowników, większość — młodzież. Świeżo wyremontowana świetlica oraz przytulny, przyjemnie zaprojektowany, Klub Racjonalizacji i Techniki. W świetlicy, przypominającej raczej halę wi-

(Dokończenie na str. 7)

MARIAN NARCYZ LISTOWSKI

Pod wysokimi drzewami

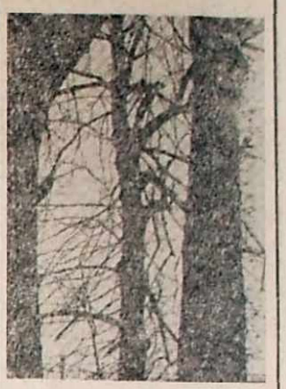

Pod wysokimi drzewami
w cieniu
słońce w dzień, gwiazdy nocą —
by dojrzeć trzeba wysoko głowę
podnieść, bardzo wysoko.

Po wysokimi drzewami
płowe
barw są zmienne, oko
łudzą i kształty gubią w liścieniu
— przeczą kształtom i oczom.

Pod wysokimi drzewami
człowiek
krzaczkiem jest bardzo małym,
więc wspina się na palce i dłonie
w górę wyciąga — tęsknie.

Pod wysokimi drzewami
skronie
stają się wcześnie męskie.

Znam gorycz cienia,
znużenie powiek,
swój trud, swój wiek dojrzały.

Na imię ma Rewolucja

JESZCZE raz nadarza się okazja do zdumienia, że porządek społeczny, z którym łączą się najdonioślejsze wydarzenia ludzkości, nie liczy nawet pięćdziesiąt lat. Dzięki temu wielu z nas nie potrzebuje w tym przedmiocie posługiwać się pamięcią aż historycznej karty. Wszystko to, co zostało zapoczątkowane datą 7 listopada 1917 roku, stało się na oczach pokolenia, które znajduje się przy życiu.

Pół wieku, a taki bilans dokonań! Wystarczy wspomnieć, że w bilansie tym znajduje się pierwsze wystrzelenie sztucznego satelity Ziemi i pierwsze naukowej wartości penetracje przestrzeni kosmicznej. Wszystko też wskazuje na to, że i pierwsze pozdrowienie dla pozaziemskich istot rozumnych, jeżeli takie w tejże przestrzeni bytują, przekazane zostanie z pokładu statku oznaczonego symbolem pięcioramiennej gwiazdy. Godło pierwszego na świecie państwa socjalizmu oprócz poetyckiej symboliki zawiera obraz rzeczywistych dokonań.

Nie mimo, lecz właśnie dlatego trudno jest dziś, w roku 1965, mówić o znaczeniu Październikowej Rewolucji. Bo i spowodowana przez Rewolucję rzeczywistość — jak to widać na polu techniki — przeszła fikcję fantastycznych powieści i treści przez Rewolucję przyniesione weszły już w krew naszego życia społecznego. Mówić o nich, to jakby przewidywać urodzaj jesienią. Nie znaczy jednak, że ...ałonność tego towarzyszy nam na każdym kroku. Chodzimy po ulicach, kupujemy w sklepach, składamy wizyty znajomym. Ale jakąż wymowę posiada komunał, że ludzie w naszym kraju możność spełniania tych czynności zawdzięczają zwycięstwu Armii Czerwonej nad zbrodniczością faszyzmu.

My, Polacy, jako cały naród, zetknęliśmy się z Socjalizmem pod koniec drugiej wojny światowej. Od razu był dla nas nie samą Historią. Był Przyjaźnią. Ot, choćby szczegół, że z tamtych czasów zachowaliśmy pamięć nie tylko „katiuszy", ale i „harmoszki". Sąsiedzki gwar rozmów po zakończeniu armatniej kanonady. Jakby na samym wstępie zapowiedź tej prawdy, że związek między naszymi narodami, że stosunki polityczne w obozie socjalizmu nie opierają się na sztywnej oficjalności, ale na wzajemnym zrozumieniu, współpracy, pomocy. Nie długo musiały czekać na swe urzeczywistnienie założenia idei internacjonalistycznej rzucone przez Rewolucję.

Dlatego możliwy stał się wzrost potencjału ekonomicznego, w takiej skali, jak to obrazuje mapa naszych Jędrychowów, Andrychowów, Turoszowów. Dlatego podniosła się nasza oświata i kultura. Dlatego... Powiązań między objawami naszego rozwoju w każdej dziedzinie a sferą zamierzeń podjętych przez ustrój nie potrzeba dokumentować tysiącami przykładów. Wykazuje je praktyka i widoczny konkret życiowy. To wszystko, co należy do rozwoju, co podnosi nasz dobrobyt, co otwiera perspektywę lepszego jutra, ma swój rodowód w Październiku 1917, na imię ma Rewolucja.

Święcimy ją — świecą wszystkie ludy — po raz czterdziesty ósmy. Tych niewiele lat to już epoka.

We wdzięcznej pamięci...

W „PRZESTROGACH dla Polski" (1790) pisał Stanisław Staszic (1755—1826) m. in. te słowa:

„Z samych panów zguba Polaków. Oni zniszczyli wszystkie uszanowania dla prawa. Oni, rządowego posłuszeństwa cierpieć nie chcąc, bez wykonania zostawili prawo. (...).

Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu? — Panowie. Kto niewinną szlachtę, najpoczciwiej i najszczerzej Ojczyźnie życzącą, oszukuje, przekupuje i rozpaja? — Panowie. Kto od wieku robił nieczynną władzę prawodawczą, rwał sejmy? — Panowie. Kto sądowe magistratury zmienił w targowisko sprawiedliwości albo w plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy? — Panowie. Kto koronę przedawał — Panowie. Kto koronę kupował? — Panowie".

Rozprawiwszy się w ten oto sposób z warstwami uprzywilejowanymi, Staszic zwrócił swój wzrok ku tym, którzy byli i są prawdziwymi gospodarzami kraju, ciemiężonymi przez wieki, żądając dla nich wolności i podnosząc ich rolę:

„Rolnictwo jest to źródło bogactwa, życia i wolności. (...). Wsie dały początek miastom; miasta dały obfitość wsiom. Rolnictwo stwarza przemysł; wzrost przemysłu doskonali rolnictwo".

Raz zainteresowawszy się życiem polskiej wsi, autor *„Uwag nad życiem Jana Zamojskiego"* pozostał wierny wytkniętemu celowi do końca, tj. do chwili, w której mógł urzeczywistnić swe pragnienia przyjścia ludowi z konkretną pomocą. W ten sposób w roku 1822 na ponad 12000 morgach ziemi hrubieszowskiej, kuplonej wcześniej przez Staszica, powstało Towarzystwo Rolnicze, pierwsza prawdziwie pionierska placówka spółdzielcza w Polsce.

„Dni Staszicowskie" w Hrubieszowie

Związki Staszica z piękną i żyzną Ziemią Lubelską były bardzo silne. Oczywiście pierwszoplanową rolę odegrał w tym Hrubieszów. Trzeba jednak dodać, że pisarz bywał też w Lublinie, jako minister wizytował go w 1824 roku, wykazując wiele troski o wygląd naszego miasta. Dowodem tego były konkretne wskazówki dotyczące zabudowy, dróg, poszczególnych gmachów, szczególnie zaś Placu Litewskiego. To właśnie Staszic upomniał się o wzniesienie w miejsce zburzonego w roku 1820 nowego pomnika Unii Lubelskiej. Sam zresztą w roku 1823 zdobył u cara Aleksandra I zgodę na realizację tego projektu.

Pamięć o wielkim reformatorze i pisarzu jest żywa w społeczeństwie Lubelszczyzny do dzisiaj. Najlepszym tego dowodem są zorganizowane przez przejawiające wyjątkowo aktywną działalność Towarzystwo Regionalne Hrubieszowskie w dniach 5—12 listopada br. tzw. *„Dni Staszicowskie"*. Na bardzo bogaty program tej imprezy złożą się capstrzyki w Hrubieszowie, Dziekanowie i Jarosławcu, połączone ze złożeniem wieńców pod pomnikami Staszica, następnie uroczysta sesja PRN i MRN, otwarcie wiejskiego domu kultury w Dziekanowie, odsłonięcie popiersia pisarza w Liceum im. St. Staszica i otwarcie Muzeum Ziemi Hrubieszowskiej. Nie zapomniano oczywiście, o licznych wykładach i prelekcjach w kilku domach kultury, szkołach i innych ośrodkach. Za zorganizowanie tych *„Dni"* Towarzystwu należą się słowa szczerego uznania.

MAREK ADAM JAWORSKI

Gazeta – nie muzeum!

WIEM z góry, że „narażę się" wielu kolegom — tym „szeregowym" i tym, którzy mają głos decydujący — kolegom, z którymi grywam w karty, piję kawę czy też coś mocniejszego. Zwierzają mi się niekiedy ze swoich planów dziennikarskich, czasami proponują pewne tematy dla „Kameny". Znam ich od lat, wiem, który (jeśli c h c e) potrafi napisać dobry artykuł publicystyczny, a który reportaż. Tych od reportażu jest niewielu, widać to wyraźnie, gdy bierze się do ręki „Sztandar Ludu", „Kurier Lubelski" czy „Kamenę".

— Reportaż jest pracochłonny — słyszę zdania. — A ile można w lubelskich dziennikach dostać za reportaż? Tyle, ile za 10 notatek pisanych lewą nogą. A reportaż zabiera co najmniej tydzień czasu. Jeśli już „popełnię" reportaż, wysyłam go do któregoś z tygodników warszawskich. Przeważnie drukują.

Kupuję codziennie rano „Sztandar Ludu", kupuję „Kurier Lubelski" — dziennik popołudniowy. Chude to strasznie, ale cóż — mamy trudności papierowe i za szczupłą objętość nie można już winić kolegów po piórze. Ale — wydaje mi się — można i należy w interesie setek tysięcy czytelników (zwykle gazetę czytają, a przynajmniej przeglądają, całe rodziny) wyrazić pod ich adresem życzenie, aby te cztery stroniczki wypełniali z sensem, aby sprawiedliwie podzielili miejsce między serwis depeszowy, publicystykę i informację. Właśnie — informację. Jej chcę kilka słów poświęcić.

Przeciętny mieszkaniec Lublina, ten, który dostaje do ręki miejskie wydanie gazety, może się łatwo dowiedzieć, co zdarzyło się na świecie. Z zasady wie już o tym zresztą z wczorajszych a czasem i przedwczorajszych dzienników radia i TV, więc tylko prześliźnie się wzrokiem po tytułach.

Znacznie gorzej przedstawia się sprawa z informacją krajową. Czasem trafi się opis większego wypadku, sprawozdanie z uroczystej akademii, z jakiegoś posiedzenia, ale to nie rozwiązuje p r o b l e m u informacji. Nie spotykam stałych, prowadzonych s y s t e m a t y c z n i e kronik na temat nowych osiągnięć w dziedzinie nauki i techniki, życia kulturalnego, społecznego, gospodarczego itd. Podkreślam — prowadzonych systematycznie, a nie od przypadku do przypadku, kiedy to AR czy API zlitują się i coś przyślą. A przecież niekoniecznie trzeba tu liczyć na agencje. Wystarczy codziennie przejrzeć zszywkę krajowych dzienników. Tak powstaje w „Polityce" rubryka „Coś z życia", zresztą przygotowywana pod specjalnym kątem.

Mówi się, że od tego jest prasa centralna. Bzdura, nie argument. Ile w Lublinie sprzedaje się dzienników warszawskich, a ile lubelskich? Stosunek w najlepszym wypadku jak jeden do piętnastu.

A co z informacją z samego województwa? Owszem, czytelnik mieszkający w Lublinie dowie się, że tu czy tam coś otwarto, że wstęgę przeciął X, a przemówienie okolicznościowe wygłosił Y. Dowie się, że w Lubartowie, Białej, czy Chełmie odbyła się Wielka Konferencja, na której... itd., itd. Nasz praprawnuk, który za sto lat weźmie dzisiejszą gazetę do ręki, odniesie wrażenie, że pokolenie anno 1965 większość swego życia spędzało na naradach, przemawiało, lub słuchało.

Gdy po siedmioletnim pobycie w innym województwie wróciłem na Lubelszczyznę, nie poznaję wielu miast, miasteczek i osiedli. Z gazet jednak zbytnio bym się o tym nie dowiedział. Czy wszystko mają „załatwiać" mutacje ostatniej strony trafiające siłą rzeczy do ograniczonego kręgu czytelników?

Nasuwa się kolejne pytanie: czy chociaż informacja z samego Lublina jest wystarczająca. Obie gazety poświęcają jej całą ostatnią kolumnę!

Przesadziłbym i skrzywdził kolegów z miejskich działów, gdybym stwierdził, że tej informacji nie ma. Jest, ale po pierwsze rozdęta (o niektórych drobiazgach — całe poematy), a po drugie — niepełna. A wziąć choćby do ręki książkę telefoniczną, podzwonić do dyrektorów i dowiedzieć się, co nowego w PKO, PCK, WZSP itd., itp. — rzucam, oczywiście na „rybkę". No i nie zachęcam do siedzenia na krześle i wykręcania numerów. W naszych gazetach brak reporterki. Nie, nie tej dobrej. Brak i niedobrej! Rzadko czytam informację, z której wynika, że coś się dzieje, że dziennikarz przy tym zdarzeniu asystuje, patrzy i notuje. Bywa, że wieczorem i w MO nie dowie się o groźnym wypadku który wydarzył się w mieście. Szaleje wszędobylska plotka, po kilku dniach trzeba dawać niemal oficjalne dementi. Mówi całe miasto, a gazeta poranna nawet nie znajdzie miejsca na pięć wierszy druku.

A przecież można tak zorganizować pracę — mimo szczupłości kadr dziennikarskich — by ktoś z działu miejskiego pełnił całodzienny dyżur. Każdy dziennik ma „okienko" na ostatnie doniesienia. Zarówno ze świata jak i z miasta. Truizmy? Tym gorzej, że trzeba o tym pisać.

W prasie lubelskiej brak również stałej, podkreślam — s t a ł e j informacji z zakładów pracy. Cóż mi po artykule, zajmującym jedną czwartą kolumny, poruszającym specyficzny problem jednego zakładu. Co się z niego można dowiedzieć?

A sprawy tzw. ludzkie? Rzadko znajduję notatki o takich, czy innych przejawach bezmyślności, chamstwa, z czym spotykamy się, niestety, na co dzień — w autobusie czy w kolejce do autobusu, w przychodni zdrowia, w sklepie. Znów itd. itp. Drobiazgi? Ale przecież z drobiazgów składa się życie!

Już nic nie chcę pisać o felietonie. W każdym bądź razie niejeden felieton więcej zdziała, niż artykuł pseudopublicystyczny, w którym co drugie słowo to „musimy" lub „należy"...

Nie wymagam, a zabieram głos jako c z y t e l n i k, cudów. Nie wierzę w trudności „obiektywne". Gazeta to nie biuletyn, nie muzeum. Gazeta to produkt żywy, nasz codzienny przyjaciel, doradca, przewodnik, ale i i n f o r m a t o r! Nie tylko jeśli idzie o kina, teatry i telewizję. I jestem przekonany, że nakład, nakład coraz większy, można uzyskiwać nie jedynie poprzez druk powieści kryminalnej. Jako przykład wymieniłbym pewien dziennik, który żadnej powieści nie drukuje, a jego nakład rośnie systematycznie. Nazwy tego dziennika nie podam, bo i tak mówią, że ja tylko chwalę Szczecin.

Chcecie, koledzy, polemizować? Mówicie, że naświetliłem wszystko jednostronnie? A może uczyniłem tak celowo? Po to, aby włożyć kij w mrowisko i was z a n i e p o k o i ć?

Sztuka nabijania w butelkę

POSTANOWILIŚMY *) założyć instytut, ściślej... „Instytut Popularyzacji Wiedzy o Świecie". Odnosiliśmy wrażenie, że instytut taki powinien mieć dział prelekcji terenowych. Z łatwością stworzyliśmy taki dział, byliśmy w końcu jedynymi szefami „placówki", nikt nam niczego nie limitował, nie ograniczono nas funduszem bezosobowym, problem godzin nadliczbowych zlikwidowaliśmy jednym machnięciem ręki.

Byliśmy już na etapie angażowania kadry. Z tym też poszło bez kłopotów — najlepsi fachowcy, najlepsze nazwiska i tytuły naukowe stały do naszej dyspozycji. Oczywiście w naszym przekonaniu najlepszymi fachowcami byliśmy... sami. Nazwiska wprawdzie nieznane w świecie naukowym, ale któż by się upierał przy takich, jak nasze, nazwiskach? Bez żalu zamieniliśmy je — jeden z nas stał się Adamem Szypólskim - Balakodrą, a drugi wręcz Janem Kaczorskim. Problem stopni naukowych? — gra stała się pasjonująca. Przyjaciel zapragnął stopnia — docenta, stanowiska — adiunkta. Drugi nie stawiał przeszkód. Nie można być małodusznym i drobiazgowym, pozostając przy własnym tytule magistra. Automatycznie niejako adiunkt Adam Szypólski-Balakodra został kreowany na szefa działu prelekcji terenowych.

Na spreparowanych specjalnie blankietach wypisaliśmy 10 tematów starając się robić przy tym błędy maszynowe i przede wszystkim formalne. Co to znaczy: „Aspekty polityczne w matematyce", albo „Doświadczenia polskie w rolnictwie boliwijskim"? Nagłówek „Oferacja tematów" powinien na kilometr... pachnąć ignorancją.

Kierowca redakcyjny, pan Ziutek, został pouczony, że przed siedzibą potencjalnego klienta każdorazowo ma wyskakiwać z wozu i otwierać panu docentowi drzwiczki. Magister Kaczorski wysiada z wozu o własnych siłach...

Ruszyliśmy w południowe strony województwa. W małym miasteczku skierowano nas do liceum — chcieliśmy zrobić próbę generalną. Kierowca na oczach woźnego wysadził adiunkta, magister przepuścił go w drzwiach. Wywołano dyrektora.

— Jesteśmy z instytutu, mamy do zaoferowania następujące tematy. Może pan dyrektor coś wybierze?

Dyrektor wybiera, marszczy czoło... No, chyba koniec zabawy. Ale nie...

— Dobre, dobre panowie...

— Tak, ale może jednak któraś z prelekcji ciekawi pana najbardziej? Nie możemy przecież jednocześnie mówić na wszystkie tematy.

— Jak to... jednocześnie — protestuje kierownik — w ciągu jednego dnia zorganizujemy panom cztery spotkania, trzy dla młodzieży i jedno dla grona nauczycielskiego.

— A o czym dla grona? O kabaretach paryskich?

— Zgoda, o kabaretach — podchwytuje kierownik.

— Cztery prelekcje w ciągu dnia — włącza się magister Kaczorski — skąd pan wytrzaśnie tyle pieniędzy?

— Jak to pieniędzy, ile kosztuje jedna prelekcja?

Adiunkt Szypólski-Balakodra przybiera znudzony wyraz twarzy; cóż za proza życia. Natomiast mgr Kaczorski wydaje się być doskonale zorientowany w finansowych labiryntach...

— Pięćset złotych, to znaczy, rozumie pan dyrektor — dwieście musimy odprowadzić do instytutu, resztę stanowi nasze honorarium...

— Ależ panie kolego — karci adiunkt magistra — czyż można w ten sposób stawiać zagadnienie, przecież to są pieniądze młodzieży?

Przedsiębiorczy magister jest jakby trochę „wyhamowany".

— Panie docencie — pospiesza z zapewnieniami kierownik — to są pieniądze komitetu rodzicielskiego. Na dobre imprezy zawsze mamy gotówkę. Nie zaprzątajmy sobie głowy tą sprawą, pomyślmy raczej o terminie.

— Początek listopada — proponuje magister.

— Proszę sprawdzić, panie kolego, w terminarzu — surowo przerywa adiunkt — czy nie mam w tym czasie zajęć na uczelni?

— Nie, panie docencie, dopiero po piątym listopada jest pan zajęty.

— Tematy prelekcji — mówi kierownik — na przykład ten: „Najwięksi aferzyści świata, czy tylko pospolici przestępcy"?. Czy mogą panowie powiedzieć, o jakie afery chodzi?

„Naukowcy" nie są przygotowani na takie pytania. Coś trzeba jednak powiedzieć, więc docent mówi:

— Wie pan — te słynne afery Lustiga, Montessich...

— Rozumiem — kierownik chce być człowiekiem z otwartą głową — wobec tego pozwoli pan docent, że wynotuję tematy.

Przegląd PRASY

„Pan docent" łaskawie zezwala, ustalone zostają terminy, o pieniądzach nie ma więcej mowy. Kierownik uprzejmie prosi, żeby na kilka dni przed przyjazdem powiadomić go o tym.

Pan Ziutek otwiera drzwiczki, jedziemy. Jesteśmy przekonani, że kierownik nie zawiedzie. 2 tys. złotych mamy już chyba w kieszeni...

W powiatowym miasteczku szukamy PZGS-u. Idziemy do prezesa. Docent z płaszczem na ręku, obowiązkowo. Z kieszeni płaszcza wyzierają kolorowe okładki „Puncha", wychyla się „Times", „Paris Match". Jesteśmy światowcami, naszych rozmówców częstujemy „Carmenami", chociaż prywatnie pan docent pali tylko „Sporty". Imponderabilia muszą być widoczne.

Prezesa nie ma, jest tylko instruktor oświatowy. W ciasnym pomieszczeniu instruktora adiunkt robi widoczne wysiłki w celu zachowania pełnej godności postawy. Jest po prostu za ciasno. Magister Kaczorski zagaja:

— Mamy nadzieję, że tutejszy PZGS nie zechce się wyalienować z ogólnego nurtu rozwoju oświaty. Co więcej — jesteśmy przekonani, że tutejszy PZGS ewidentnie ten rozwój popiera perforując na teren. Nasze prelekcje są atrakcyjne, gwarantujemy doskonałą kadrę prelegentów, być może zechce wystąpić w waszych klubach obecny tu pan docent Szypólski-Balakodra osobiście. Ile macie klubów? — czternaście, a więc czternaście razy pięćset, tylko tyle bowiem kosztują nasze pogadanki, czyni w sumie siedem tysięcy złotych. Keine Geld — jak powiadają Niemcy.

Z potoku słów magistra usiłuje wyplątać się instruktor. Tematy mu się podobają. Jest zachwycony, że takie sławy, ale prezesa nie ma dziś, będzie jutro.

— Więc sądzi pan, że jutro będzie nam się opłacało tu zajrzeć?

— Ależ tak, prezes lubi takie rzeczy.

Żegnamy się, ale już w ostatniej chwili instruktor nas dopada — niech panowie wstąpią do „Ruchu", oni też mają sporo klubów.

Wstępujemy. Później się dopiero okaże, że to jest błąd.

Na razie przyjmuje nas szef, ogląda tematy, a potem nas. Czujemy się trochę nieswojo. Ostatecznie „Ruch" kolportuje naszą gazetę. Może szef nas gdzieś widział. Szef jest wyraźnie najeżony. Oddaje tematy i rozpoczyna wykład na temat programowej działalności „Ruchu" w klubach. Dowiadujemy się jeszcze raz, że „Ruch" stworzył bazę dla działalności oświatowej, natomiast program działania a więc i prelekcje, do nich nie należą. Być może, w województwie, w dyrekcji zechcą nam to załatwić.

Żegnamy czym prędzej szefa w pełni świadomi porażki. Szef ma minę zwycięzcy. Spławił „takich naukowców".

Jedziemy. Wciąż na południe. Stan kasy bez zmian — 2 tysiące złotych. Mało. Po drodze dom kultury. Kierowniczka jest bezradna: wszystkie tematy są dobre, ale gorzej z pieniędzmi.

Magister Kaczorski przybiera minę dobroczyńcy — jak dla pani wyjątkowo możemy zrobić prelekcję za 200 zł — kusi.

— My, proszę panów — tłumaczy kierowniczka — załatwiamy takie sprawy przez TWP, płacimy im 120 zł, ale jeżeli tylko 200 będzie kosztowało, to sądzę, że gromadzka rada coś dopłaci. Ludzie przyjdą, imprezę zrobimy w sali kinowej.

— Panu docentowi to nie będzie przeszkadzało? — pyta magister Kaczorski.

— Oczywiście, że nie — „docent" jest uosobieniem przychylności dla kierowniczki.

A więc mamy już 3200 złotych. Jedziemy dalej. Tym razem chcemy zagrać wysoko.

Inspektorat oświaty. Zastępca inspektora drobnym maczkiem przepisuje tematy. Sam nie może decydować, przyśle pismo, które będzie...

— ...jednocześnie zleceniem pracy — dodaje beztrosko mgr Kaczorski. To on pilnuje w instytucie finansów.

— Chyba tak — podinspektor czuje się niepewnie. Pewnie zapyta o legitymacje, uprawnienia. Nie, nic z tych rzeczy. Podinspektor pyta:

— Na jaki adres wysłać pismo?

Niech to dunder świśnie. Na jaki adres? Coś trzeba wymyślić.

— Na adres redaktora Wiesława Barańskiego — powiada Kaczorski.

— Nieprawda, panie docencie? Będziemy akurat wracali z Krakowa więc wstąpimy.

Adiunkta zatkało.

— No, można i tak — powiada z rezygnacją.

Podinspektor nawet nie mrugnął okiem. A takeśmy się tego bali, żeby po tamtym artykule w „Słowie Ludu" („Po co zaraz bank?") nie było jakichś trudności...

— W sobotę najpóźniej otrzymają panowie wiadomość — w zachowaniu podinspektora nie stwierdziliśmy niczego niepokojącego. — Sądzę, że zamówimy dwie prelekcje.

Pan Ziutek, mimo pełnej szacunku postawy przy otwieraniu drzwiczek, nie wytrzymuje i pyta o utarg. Inspektor stoi w oknie, więc adiunkt przez zaciśnięte zęby dyskretnie go sztorcuje. Magister z jękiem rozkoszy opada na siedzenie i szepcze — Chodu panie Ziutku!

W najgorszym wypadku mamy 10200 złotych. Nieźle jak na pierwszy raz.

Nowoczesny zakład, nowoczesny zakładowy dom kultury. Przed domem starożytny, znajomy autokar. Jest cały teatr z Radomia. Przyjechali z „Pigmalionem". Aktorzy podchodzą do nas z Jurkiem Wasiuczyńskim na czele. Jest pani Irena Malarczyk, pani Stasia Orska. Błagamy, niemal na klęczkach, żeby nas przestali znać, tłumaczymy, że jesteśmy naukowcami i występujemy incognito. Patrzą jak na wariatów. Jurkowi wyjaśniamy w skrócie, o co chodzi.

— Chciałym przy tym być — powiada. Jest aktorem i chciałby poznać nasze aktorstwo.

Cóż to za aktorstwo, amatorszczyzna pierwszej wody...

Ale kierowniczka uprzejma, zaszczycona; tacy naukowcy osobiście? Adiunkt w terenie! Tematy dobre, nawet bardzo dobre, wręcz atrakcyjne, ale o pieniądzach decyduje rada zakładowa.

— Jest wyjście, zrobimy tak, ja sobie wynotuję tematy, a panowie jutro zadzwonią do rady.

Zadzwoniliśmy. Przedstawiciel rady zakładowej wyraził zgodę. Wygląda, że w sumie mamy szansę zarobić 10700 złotych.

Dwa, trzy dni „pracy", kawałek papieru, maszyna do pisania. Tak się to robi. Można żyć...

Wiesław Barański
Bogusław Rajchert

*) Zamiast tradycyjnego przeglądu prasy — przedrukowaliśmy dziś ten reportaż z Magazynu kieleckiego „Słowa Ludu" (zmieniliśmy tylko tytuł). Przyjemnej lektury! (Red.)

Następny numer „KAMENY"

JUBILEUSZOWY!

Dwudziestolecie wznowienia wydawania pisma po wojnie

●

Większa objętość
Bardzo ciekawe materiały literatów i dziennikarzy z całej Polski

●

M.in. artykuły poświęcone Zjazdowi ZLP

Nobel 1965

BLISKO 10 lat temu z trybuny XX Zjazdu KPZR w Moskwie pod adresem współczesnej literatury radzieckiej padły gorzkie słowa prawdy, z których biła troska o to, by nie oddała swej przodującej pozycji w świecie, by jeszcze lepiej służyła sprawie komunizmu:

„Na tym polega właśnie całe nieszczęście, że nie niektórzy, lecz bardzo liczni pisarze, od ładnych już paru lat stracili więź z życiem i nie to, że oderwali się od niego, lecz cichutko odeszli na bok i spokojnie trwają w sennej i niezrozumiałej kontemplacyjnej bezczynności.

Liczni ze współczesnych pisarzy, zwłaszcza spośród moskwiczan, obracają się w zaczarowanym trójkącie: Moskwa — willa — uzdrowisko i znowu: uzdrowisko — Moskwa — willa. Czyż to nie wstyd tak bez celu trwonić życie i talent? (...).

Czekacie, towarzysze, na nowe książki? A ja chcę was zapytać: od kogo? Od tych, co nie znają dobrze ani kołchoźników, ani robotników, od tych, którzy wysiadują i wylegują się w domowym ustroniu?".

Człowiek, który wypowiedział te słowa, miał do nich wprost wyjątkowe prawo, ponieważ sam całym życiem i twórczością należał do ludu, jemu dedykując książkę po książce. Michał Szołochow znany jest dzięki tłumaczeniom 73 krajom na całym świecie. Nagroda Nobla przyznana mu w 1965 roku zbiegła się z 60-leciem urodzin pisarza i z 25 rocznicą zakończenia pracy nad fundamentalnym dziełem — „Cichym Donem", który tworzył przez 15 lat. Trudno o piękniejszy prezent niż uznanie Szołochowa za jednego z najwybitniejszych pisarzy naszej ery. Nagroda tym cenniejsza, że przyznana komuniście, który wierny swej kozackiej Stanicy Wieszeńskiej nad Donem utrwalał każdy krok narodu, jego walkę i pracę, klęski i zwycięstwa, cierpienia i trudy, jakie trzeba było ponieść, by mogło powstać pierwsze państwo socjalistyczne. Szołochow jest trzecim pisarzem rosyjskim — po Iwanie Buninie i Borysie Pasternaku — którego spotkało to wielkie wyróżnienie. Twórca sagi rodu Melechowów na kartach wielkiego kozackiego eposu powołał do życia, a właściwie przeniósł z rzeczywistości, całe zastępy prawdziwych ludzi, ludzi dobrych i złych, kochających i nienawidzących, walecznych i tchórzliwych, patriotów i zdrajców. Oddał swe pióro prostym ludziom, pisał o nich i dla nich i tu leży główne źródło jego siły, miłości do ludzi, humanizmu.

ROMAN ROSIAK

Królewski i męczeński

Lipiec 1944. Pogrzeb ofiar hitlerowskiej masakry na Zamku w Lublinie *Fot. Michał Trachman*

ZAMEK królewski w Lublinie został wzniesiony za czasów Bolesława Chrobrego, rozbudował go następnie po roku 1341 Kazimierz Wielki, zaś Władysław Jagiełło postawił kaplicę Św. Trójcy, słynną z malowideł wykonanych w 1418 r. Za Jagiellonów wyraźnie wzrosła rola Lublina, który od roku 1472 stał się miastem wojewódzkim. W tym czasie Zamek często gościł króla i jego dwór. W latach 1473—1478 przebywał tu jako wychowawca synów Kazimierza Jagiellończyka, Jan Długosz. Krócej bawił w Zamku jeden z najwybitniejszych humanistów — Kallimach — Filip Buonacorsi. W roku 1448 odbył się w Zamku pierwszy zjazd Litwy i Korony, w 1452 — zjazd generalny Małopolski, zaś w 1569 Zygmunt August podpisał Unię Polsko - Litewską i przyjął hołd Prus. W latach 1824 — 1826 z polecenia rządu Królestwa Kongresowego zbudowano gmach frontowy i południowe skrzydło. Pomieszczenia te zostały przekazane sądownictwu kryminalnemu i od tego czasu Zamek stał się na okres ponad stulecia więzieniem. Dopiero w kilka lat po wyzwoleniu odremontowano historyczny zabytek, dziś mieści się tu Muzeum i Wojewódzki Dom Kultury.

Komuna lubelska

Lata dwudziestolecia międzywojennego, zwłaszcza jeśli chodzi o ostatni okres, poprzedzający wybuch II wojny światowej, to szczególna karta w dziejach lubelskiego Zamku, w którego murach przebywało wówczas wielu więźniów politycznych, m. in. Marian Buczek, Franciszek Jóźwiak — Witold, Wanda Lewicka, Janina Bierówna, Stanisław Krzykała i in. Szczególnie głośny był „proces 39", który odbył się w grudniu 1937 roku. Wyrokiem Sądu Okręgowego w Lublinie 39 młodych działaczy komunistycznych zostało skazanych na kary od 2 do 10 lat więzienia.

W procesie lubelskim Franciszek Jóźwiak — Witold w ostatnim słowie wyraźnie określił cele, jakie stawiała przed społeczeństwem Komunistyczna Partia Polski. Oto krótkie przemówienie Jóźwiaka, które przewodniczący sądu przerwał w środku zdania:

„Jeśli zasiadam po raz drugi na ławie oskarżonych, to dlatego, że walczę o republikę ludową, o prawa demokratyczne szerokich mas ludowych. Sedno tej sprawy leży w tym, że inne czynniki chcą w Polsce dyktatury faszystowskiej i faszyzmu. Tu tkwi prawda i dlatego konstruuje się sprawy niebyłe i konstruuje się akt oskarżenia przeciw ludziom, którzy i tak nie wyzbędą się tego, czym są. To jest moja zbrodnia, że w imię demokracji ludowej stanąłem przeciw faszyzmowi. Burza faszyzmu nadciąga i ..."

Komuniści nie poddawali się, nawet w więzieniu towarzyszyła im walka, której szczyt przypada na lata 1937 — 1938. Już w roku 1932 więźniowie Zamku zorganizowali jednodniową głodówkę i uczcili Święto Pracy. Mówi o tym raport naczelnika więzienia do Ministerstwa Sprawiedliwości z dnia 2 V 1932 r., w którym czytamy m. in.:

„Donoszę Ministerstwu, że w dniu 1 maja br. więźniowie - komuniści na znak protestu przeciw wprowadzeniu w życie nowego regulaminu więziennego odmówili przyjęcia pożywienia, ogłaszając jednodniową głodówkę. O godzinie 8 rano więźniowie tej kategorii w celach 4, 9 i 26 przypięli kokardki z czerwonego materiału, które zostały im zdjęte natychmiast bez stawiania z ich strony jakiegokolwiek oporu. O godzinie 12 na dany sygnał (dzwonek na obiad wszyscy więźniowie komuniści z wyjątkiem cel 14 i 29 w liczbie 149, poczęli wznosić okrzyki przeciwko regulaminowi więziennemu i różne hasła antypaństwowe oraz zaśpiewali socjalistyczną międzynarodówkę".

Od 16 do 80 lat

Tu nie „zmarnował się" ani jeden metr powierzchni. Zamek, który tuż przed wybuchem wojny obliczony był na 706 więźniów, w latach okupacji niejednokrotnie przekraczał liczbę 3000 osób. W celach przeznaczonych dla 12 — 14 więźniów trzymano 30—40 i więcej. W niektórych celach liczba więzionych sięgała do 120. Nawet 1—2-osobowe separatki musiały pomieścić 10—15 osób. Nie było obawy, by zabrakło więźniów, łapanki dostarczały ludzi bez przerwy. Ruch był ogromny, ponieważ z reguły pobyt w Zamku trwał raczej krótko: od kilku dni do kilku miesięcy. Więzienie to miało charakter przejściowy, stąd wiodły liczne drogi do Niemiec na roboty, na Majdanek, do Dachau, Oranienburga, Ravensbrück i Oświęcimia. Wywożono też więźniów na miejsce masowych egzekucji, jak również na badania i tortury do gmachu gestapo „Pod Zegarem" przy ul. Uniwersyteckiej. Od maja 1944 r. Zamek otrzymał specjalne samochody — komory gazowe, w których truto więźniów przy pomocy gazów spalinowych. Aby maksymalnie wykorzystać czas, czynność tę wykonywano w czasie drogi do krematorium na Majdanku, bądź też do lasu krępieckiego, gdzie zwłoki były palone.

Więźniowie reprezentowali wszystkie grupy społeczne. Wiek więźniów wahał się od 16 do 80 lat. Oprócz działaczy ruchu oporu można tam było spotkać ludzi zatrzymanych przypadkowo na ulicy, którym trudno było coś zarzucić. Oblicza się, że przez mury Zamku przewinęło się w latach 1939—1944 około 400.000 więźniów.

W imieniu „prawa"...

Dwa razy w miesiącu urzędował w Zamku sąd. Pierwsza „sesja" przypadała na dni 4—5 każdego miesiąca, druga zaś na 17—20. W kaplicy, za długim stołem, przykrytym zielonym suknem, zasiadali gestapowcy w asyście tłumacza. Procedura sądowa była niesłychanie uproszczona. Nie było aktu oskarżenia, nie było przemówień prokuratora i obrońców, czy świadków, nie udzielano nawet oskarżonemu prawa do ostatniego słowa. Do kaplicy wprowadzano po prostu po kilku więźniów, którym odczytywano tylko wyrok w języku niemieckim, zaś tłumacz ograniczał się do wypowiedzenia sakramentalnej reguły: „Zostaliście skazani na karę śmierci". Na tym sąd kończył „pracę", więźniów wyprowadzano do samochodu ciężarowego, ewentualnie do cel, gdzie musieli oczekiwać na ostatnią drogę.

Z narażeniem życia

Oprócz Niemców i tzw. własowców, Zamku pilnowało również około 50 strażników polskich. W zdecydowanej większości okazali się oni prawdziwymi patriotami i ludźmi pełnymi poświęcenia. Narażając na każdym kroku życie nieśli więźniom pomoc przenosili grypsy żywność, lekarstwa, informowali rodziny o losie ich najbliższych. Nic więc dziwnego, że przyszło im płacić za to najwyższą cenę. Spośród strażników zginęli: Wincenty Samoń, Jan Nosowski, Andrzej Śledź, Bolesław Szczególski, Józef Pejta, Olczak, Antoni Kozak...

19 lipca 1944 roku zdarzył się wypadek, który jest wymownym świadectwem ducha panującego wśród więźniów. Kiedy potężnie zbudowany Niemiec – Tanzhaus, przezwany „Krową", wywołał z celi Władysława Jurgo, studenta, pracującego w szpitalu, ten ukradzionym lancetem ugodził go śmiertelnie w szyję, sam zaś tym samym lancetem odebrał sobie życie.

Ostatni mord

W dniu 20 lipca 1944, gdy wolność pukała już do drzwi Lublina, hitlerowcy rozpoczęli krwawe żniwa. W dniu tym rozstrzelano około 350 osób. Nazajutrz wywieziono na Majdanek rekordową liczbę około 800 więźniów. Rankiem 22 lipca przyjechały na dziedziniec zamkowy samochody pełne gestapowców. W kilkanaście minut później rozpoczęła się egzekucja. Najpierw rozstrzelano około 100 Żydów, z których cudem ocalało trzech. Następnie rozpoczęto wyprowadzanie Polaków po 10—15 z cel na podwórze. Rozstrzeliwano zresztą również i w warsztatach krawieckich. Tu ustawiono taboret, na który więzień kładł głowę, umożliwiając gestapowcowi oddanie do niej strzału. Odgłosy zbliżającego się frontu potężniały z każdą godziną, toteż w południe Niemców ogarnęła panika. Przestali mordować w sposób planowy, zaczęli biegać po celach i strzelać po kolei. W ten sposób wymordowano około 400—450 osób. Po tym czynie Niemcy w popłochu uciekli, natomiast strażnicy polscy wypuścili sześciuset pozostałych przy życiu więźniów.

Requiem

Kiedy do Zamku wtargnął tłum ludzi, którzy stracili tu swoich najbliższych, oczom ich ukazał się makabryczny widok. Roman Szewczyk w książce pt. „Mord na Zamku lubelskim w dniu 22 lipca 1944", wydanej w 1946 r. tak opisuje wygląd Zamku:

„Warsztaty krawieckie przedstawiały okropny widok: zwłoki pomordowanych więźniów leżały jedne na drugich warstwami" Krwi było tak dużo, że rzuciwszy kilka desek, utworzono rodzaj kładki, po której można było przejść do środka warsztatów. Krew przeciekała przez podłogę do niżej położonych cel".

Rodziny zabierały zwłoki bliskich przez kilka dni, zaś w dniu 28 lipca odbył się na Podzamczu uroczysty pogrzeb 127 ofiar, których nie udało się rozpoznać. Pogrzeb przekształcił się w potężną manifestację, w której udział wzięły tysięczne rzesze mieszkańców naszego miasta. Wśród licznych przedstawicieli władz znaleźli się m. in. generałowie: Aleksander Zawadzki i Zygmunt Berling. Ostatni akt zbrodni w Zamku dobiegł końca. Pozostała pamięć i nienawiść.

Ze wspomnień więźniów

106 w celi

„...odprowadzono nas kilku przez ciemne podwórze zamkowe do najbliższej celi położonej w okrągłej baszcie. Celę tę, pozbawioną zupełnie okien, ciemną, wilgotną, bez prycz, o betonowej posadzce, wypełniano przez całą noc. Nad ranem panował w niej olbrzymi ścisk. Było nas ponad 100. Rano zapłonęła nad drzwiami słabym blaskiem żarówka, w której świetle po raz pierwszy przyjrzałem się współtowarzyszom.

Był tu element różny: młodzi i starzy, robotnicy i inteligenci. Zastanawialiśmy się w cichych rozmowach nad przyczyną aresztowania, przeważał pogląd, że wzięto nas w charakterze zakładników. (...)

Po pierwszym apelu dowiedzieliśmy się, że jest nas 106. Reprezentowane tu były, jak wspomniałem, niemal wszystkie warstwy społeczne: robotnicy, rzemieślnicy, kolejarze, kupcy, technicy budowlani, urzędnicy, był też nauczyciel, aplikant adwokacki, a nawet przedsiębiorca — policjant. Nie oszczędzili też 15 i 16-letnich uczni.

Pobyt w okrągłej celi o średnicy 8 m dla stu sześciu ludzi był bardzo uciążliwy. Panował zaduch nie do wytrzymania, szczególnie w upalne dni i parne noce lipcowe. Musieliśmy się niemal bez przerwy wachlować kocami, aby w ten sposób doprowadzić do celi niezbędną ilość powietrza chroniącą przed uduszeniem. Rozbieraliśmy się niemal do naga, lecz mimo to pot spływał strumieniami z rozgrzanych ciał. Najgorsze były noce. Nie było mowy, aby wszyscy mogli się położyć do snu, mimo wszelkich usiłowań jak najbardziej oszczędnego wykorzystania miejsca. Odporniejsi i silniejsi spędzali szereg nocy z braku miejsca w pozycji siedzącej, pozostali układali się na betonowej posadzce, jeden obok drugiego, zazwyczaj tylko na boku, gdyż leżenie na wznak zmusiłoby jeszcze kilku do przesiedzenia nocy".

(Z protokółu nr 177 — Mariana Ekielskiego)

Bestialskie śledztwo

„Byli natomiast badani: Olszewski Antoni, rozstrzelany 21 VII 1944 r. na Majdanku, Boczek (zginął na Zamku), Ekielski Marian, Kwater... i kilku innych. Wracali z Uniwersyteckiej zbici strasznie. Olszewski opowiadał, że dwa razy był wieszany głową w dół przez półtorej do dwu godzin. Na rękach miał ciało poprzecinane do kości. Był tak zbity, że nie mógł się sam poruszać. W więzieniu też byliśmy często bici, kopani".

(Z protokółu nr 158 — Stefana Bartoszewskiego)

Parodia sądu

„W kaplicy zamkowej, pod ścianą, na której zawieszono olbrzymi, drewniany krzyż z rozpiętym Chrystusem, ustawiono stół. Za nim zasiadło trzech oficerów gestapo. Na stole leżały akta. Staliśmy na korytarzu, twarzami do ściany. Każde poruszenie więźnia kwitowane było razami ze strony strażników i kąsaniem psów. Do kaplicy wprowadzano po czterech więźniów, którym przewodniczący rozprawy zadawał stereotypowe pytanie:

— Czy oskarżony przyznaje się do winy?

Bez względu na odpowiedź zapadał z góry przewidziany wyrok: kara śmierci".

(Marcin Gryta: Byłem numerem. Lublin, 1962, s. 16)

„Żegnajcie"

„Pamiętam dokładnie jedną taką noc. Dzwonek zadzwięczał długo, przeraźliwie, a wkrótce kroki zatrzymały się przed drzwiami naszej celi, pod sufitem rozżarzyła się żarówka, zazgrzytał klucz w zamku. Na progu stanęła dozorczyni, a za nią widać było sylwetki dwóch gestapowców. „Śniegocka i (drugiego nazwiska nie pamiętam) ubierać się i wychodzić" — głos dozorczyni wydał mi się ochrypły i przyciszony. W celi naszej były trzy Żydówki.(...) Jedną z nich, najstarszą, wywołano razem ze Śniegocką. Były z jednej sprawy politycznej. Ubrała się szybko i patrzyłam, jak owiniętą dużą, ciepłą chustą stała oparta o futrynę drzwi bez słowa i jęku. Tylko miarowym, jednostajnym ruchem pochylała się to w jedną, to w drugą stronę. Pani Śniegocka ubierała się wolniej, dosłownie wszystko leciało jej z rąk. Zbierała w węzełek jakieś swoje drobiazgi, łudząc się, że to transport do innego więzienia. Zniecierpliwiło to oczekujących gestapowców, a byli to — jak się później dowiedziałyśmy — najgorsi siepacze lubelskiego więzienia: Dietrich i Schmidt. Podobno przed wojną uchodzili za Polaków. „Nie pani nie potrzeba, zarzucić tylko palto na koszulę i wyjść, tylko prędzej" — zawarczał niecierpliwy głos z korytarza. To już było wyraźne. Śniegocki bezwładnie opadły ręce. Odłożyła na bok węzełek i zwracając się do leżącej obok towarzyszki powiedziała bezdźwięcznie: „Proszę to oddać mojej córce". Miała jedyną dwunastoletnią córeczkę. Zeszła powoli z łóżka i stojąc już w drzwiach odwróciła się do nas: „Żegnajcie" — i to było jej ostatnie słyszane przez nas słowo.(...) Z okna korytarza widać było podwórko więzienne. Jeżeli stała tam ciężarówka i leżące na niej łopaty z przylepioną do nich jeszcze świeżą gliną — było wiadome, że tej nocy służyły one do kopania grobów na pobliskim cmentarzu żydowskim, gdzie przeważnie rozstrzeliwano skazańców".

(Z pamiętnika Leokadii Kwiecińskiej)

Brali bez nazwisk

„W sobotę rano była wizyta lekarska. Więźniowie, którzy z niej wrócili, opowiedzieli nam o sytuacji politycznej, krytycznej dla Niemców. W sobotę rano usłyszeliśmy dalekie detonacje frontowe. Potem — piski, krzyki, jakby ustawianie jakieś, a następnie strzały z automatów. Jak długo trwała egzekucja, tego nie wiem: Znów usłyszeliśmy otwieranie się krat; brali dziesiątkami z 8 celi... Brali bez nazwisk, kto stał z brzegu".

Jedyny ocalały

„Przy celi 35 staliśmy parami. Po dwu wchodziliśmy do celi 35 i tu był specjalny taboret, przy którym schyla liśmy się, a Niemcy strzelali w tył głowy. Po strzale dwu Niemców odrzucało ciała na bok pod ścianę. Ja miałem postrzał po czaszce i rzucili mnie na nogi już zabitego. Na mnie potem rzucili Kalickiego, który charczał. Podszedł do niego Niemiec i strzelił mu w głowę, a kula przeszła i utkwiła mi w nodze, mam ją do dziś. Potem puścił po leżących ciałach serię z karabinu maszynowego, od której dostałem pięć postrzałów. Przypuszczam, że uratowało mnie to, iż leżałem pod ścianą za paliami żydowskimi, które wisiały na wieszaku".

(Z pamiętnika jedynego ocalałego więźnia z celi nr 8 — Wincentego Kwatera)

KRYSTYNA KERSTEN

Z Chełma nad Odrę

31 LISTOPADA 1946 roku w sprawozdaniu Państwowego Urzędu Repatriacyjnego zanotowano: 45 tysięcy osób z powiatu chełmskiego wyjechało na Ziemie Zachodnie. Była to blisko 1/4 wszystkich, którzy na Lubelszczyźnie podjęli decyzję opuszczenia rodzinnych stron i osiedlenia się na ziemiach, przyłączonych do Polski po klęsce Niemiec hitlerowskich.

Nie była to łatwa decyzja — trzeba sobie zdawać z tego sprawę, kiedy wracamy dziś do historii tamtych lat. Rolnikowi — a z Lubelskiego przede wszystkim rolnicy wyjeżdżali na zachód — osiadłemu z dziada pradziada w swojej okolicy, trudno przychodziło ją opuszczać, przenosić się w zupełnie nowe warunki. Robił to już wcześniej — zmuszony warunkami materialnymi — stąd emigracja zarobkowa, bliżej do Niemiec, czy dalej za ocean, stąd też migracje ze wsi do miast w poszukiwaniu chleba.

Procent ludzi zbędnych na wsi był przed wojną na Lubelszczyźnie bardzo znaczny. Nadwyżkę ludności rolniczej liczono na kilkadziesiąt tysięcy rodzin. Wojna wiele pod tym względem zmieniła, także i reforma rolna, nadal jednak pozostały tysiące rodzin, dla których w 1945 roku Ziemie Zachodnie stanowiły jedyną szansę ostatecznego zerwania z głodem i nędzą. Tej ziemi, o którą walczono czasem aż do rozlewu krwi, na zachodzie było w bród. I nie tylko ziemi, ale także murowanych domów i zabudowań poniemieckich, inwentarza, zwłaszcza narzędzi rolniczych.

„Jedź tam ani się opatrzysz,
będziesz lepszy i bogatszy
Bowiem rolnik na zachodzie
będzie równy wojewodzie" —

takie hasła powielane w dziesiątkach broszurek i plakatów, głoszone przez radio, powtarzane ustami agitatorów znajdowały żywy oddźwięk wśród mieszkańców wsi chełmskiej czy biłgorajskiej. Te jak najbardziej realne perspektywy awansu materialnego, społecznego — zwróćmy uwagę na kapitalną trawestację znanego powiedzenia *„szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie"* — decydowały o tym, że co odważniejsi, bardziej przedsiębiorczy, zgłaszali się do ZSCh lub PUR i wyjeżdżali obejmować gospodarki w Szczecińskiem. Plany państwowe przewidywały, że tam właśnie należy kierować osadników z Lubelszczyzny. Dopiero w 1946 r. zaczęto kierować ich w Olsztyńskie i Gdańskie.

Obok możliwości uzyskania ziemi, gospodarki poniemieckiej, warsztatu pracy, nie bez znaczenia dla podejmowania trudnej decyzji o porzuceniu rodzinnych stron była świadomość wagi zaludnienia i zagospodarowania Ziem Odzyskanych dla przyszłości Polski. Nie brakło haseł mówiących o zasiedlaniu starych piastowskich ziem, odwołujących się do nagromadzonej w latach wojny nienawiści do hitlerowców.

Społeczeństwo Lubelszczyzny, jak i innych województw *Rzeczypospolitej między Bugiem a Wisłą"* w 1944 r. zetknęło się z tymi zagadnieniami wcześniej niż mieszkańcy innych ziem Polski. Chłopscy synowie, zmobilizowani do wojska w 1944 roku, słyszeli, że po zwycięstwie otrzymają na zachodzie ziemię i gospodarstwa poniemieckie. O perspektywie zagospodarowania ziem, które Polska otrzyma kosztem pokonanych Niemiec hitlerowskich, mówili działacze PKWN, głosił ją Władysław Gomułka już w czasie sierpniowej konferencji obwodowej PPR. Tu właśnie, w Lublinie, wówczas, kiedy był on stolicą, został reaktywowany Polski Związek Zachodni, którego program ogniskował się wokół zagadnień ziem historycznie lub etnicznie polskich.

W 1944 roku jednak linia frontu biegła na Wiśle, a bieżące zadania przesłaniały perspektywę zaludnienia i zagospodarowania Ziem Zachodnich. Dopiero wiosną 1945 roku, kiedy Armia Radziecka i obie armie Wojska Polskiego przekroczyły dawną granicę polsko-niemiecką, wysunęło się ono na pierwsze miejsce wśród zadań stojących przed władzami i społeczeństwem. Od początku bowiem, wbrew pewnym tendencjom „urzędniczym" wiadomo było — przede wszystkim PPR zdawała sobie sprawę z tego — że migracje ludności na zachód muszą mieć charakter spontaniczny, że nie może być to tylko „akcja urzędowa", ale masowy ruch oddolny, któremu władze państwowe stworzą odpowiednie ramy organizacji.

Taki też charakter — spontaniczny, jak to określano w jednym ze sprawozdań lubelskiego Oddziału Państwowego Urzędu Repatriacyjnego, przybrał ruch ludności z powiatów Lubelszczyzny na Pomorze Zachodnie. Historycy badający te zagadnienia toczą między sobą spory, jaki stopień planowości i organizacji cechował owe procesy, niektórzy protestują przeciw twierdzeniu, iż były one w dużej mierze żywiołowe, spontaniczne. Na pewno nie można negować znaczenia planu — jakkolwiek nie był on dostosowany do realnie istniejących wówczas możliwości, na pewno władze państwowe starały się wtłoczyć pęd na zachód w organizacyjne łożysko. Zbyt daleko idąca ingerencja planu i organizacji nie była jednak możliwa, a nawet więcej, w niektórych wypadkach mogła przynieść szkody. Taka polityka osadnicza pociągnęła za sobą wprawdzie poważne koszty społeczne, ale niewątpliwie sprzyjała masowemu charakterowi migracji ludności na zachód. Ona też pozwoliła osiągnąć wyniki osadnictwa dalekie od zamierzonych 2 milionów osób osiedlonych do 1 sierpnia 1945 roku, w zestawieniu wszakże z ówczesnymi warunkami niewątpliwie imponujące.

Lubelszczyzna, skąd według planu opracowanego przez Ministerstwo Administracji Publicznej i Centralny Komitet Przesiedleńczy miało wyjechać 170 tysięcy osób, uczestniczyła w przesiedleniu na równi z innymi województwami. „Plan" wykonano z opóźnieniem, ale też trzeba zdawać sobie sprawę, że był on z góry opracowany według zasady mierzenia sił na zamiary, a raczej potrzeby niż opierania się na realnie istniejących możliwościach. Wystarczy jednak zestawić kilka liczb: od 1

(Dokończenie na str. 11)

WIESŁAW SADURSKI

Podlaskie konfrontacje

Naprawdę biała

— Proszę pana, to wcale nie jest takie trudne. Przepis? Najpierw dużo się miesza, potem bierze się szczyptę czynu społecznego, szczyptę funduszów ze SFOS-u... Następnie zwracamy się z prośbą o dofinansowanie do rady narodowej. Oczywiście, żadna rada nie może pozwolić, aby wysiłek społeczny poszedł na marne — więc brakujący milion musi się znaleźć. Tym bardziej, że przecież każdy proponowany przez nas obiekt jest potrzebny... Efekt? Widział pan już przychodnię obwodową dla dzieci, amfiteatr ziemny, parki? Piękne prawda?... Ten żłobek będzie oddany do użytku w przyszłym roku; z okazji obchodów Tysiąclecia następne zobowiązania i czyny społeczne z pewnością przyspieszą tempo prac. Gdybyśmy liczyli, aż wszystko zostanie nam ofiarowane przez państwo, mogłibyśmy jeszcze długo poczekać. Takich miast jest przecież w Polsce setki...

Na to ostatnie zdanie nie przystaję. Takich miast, jak Biała Podlaska, nie jest bowiem wiele.

Stoimy nad wykopem, w którym poczynają wyrastać ściany wielkiego, budowanego według najlepszych krajowych wzorów żłobka. Mego rozmówcę — jest nim Kazimierz Iwanicki, od 21 lat radny MRN — poznałem na sesji Miejskiego Komitetu Porządkowania Miasta. Działacze społeczni, przewodniczący komitetów blokowych, przedstawiciele władz. Na porządku dziennym zwykle sprawy: rozwalony płot, jakieś komórki do rozebrania, sprawa używalności parkingu... Pozornie — błahostki, a jednak właśnie dzięki tym drobnym codziennym sprawom Biała Podlaska od lat zwycięża w konkursach czystości... Padają propozycje: stawiane pod ścianami rowery niszczą tynk, trzeba ustawić stojaki... Ktoś mówi:

— Nie warto, po tygodniu stojaki będą połamane...

— Jak to nie warto — oburza się inny. *— Kiedy przed kilkoma laty sadziliśmy kwiaty, też śmiano się, że chuligani je zniszczą. Tymczasem jednak są piękne trawniki, krzewy i kwiaty, nikt też nie tłucze neonów, ani nie okrada wystaw sklepowych, chociaż okiennice i żaluzje zostały zdjęte...*

Potem jest mowa o kłopotach miasta, o projektach na przyszłość, członkowie komitetu wymieniają swe doświadczenia. Oto jeden z nich organizuje ciekawe zajęcia dla dzieci i młodzieży, inny ustawia gabloty z rysunkami dowcipnie wykpiwającymi brudasów i chuliganów.

Dzięki tym ludziom, dzięki takim jak oni — Biała Podlaska jest naprawdę biała. Ładne, czyste ulice — na niektórych w czynie społecznym układa się nowe nawierzchnie i zakłada oświetlenie — ładny Plac Wolności w centrum, zamieniony na gustowny mały park z pomysłową fontanną w kształcie rakiety pośrodku. Trasa wiodąca dokoła Placu Wolności jest popularnym deptakiem, zwanym przez młodzież „kieratem".

W kieracie

Nawet najżyczliwiej usposobiony do miasta malarz, malujący je w różowych barwach, szybko dostrzeże potrzebę stosowania ciemnych akcentów. A cóż dopiero turysta... Biała Podlaska jest punktem przelotowym na trasie prowadzącej do ZSRR. Tu zatrzymują się m. in. autokary Londyn — Moskwa i... można wówczas zobaczyć biegających w „kieracie" turystów, marzących zapewne, aby Biała Podlaska stała się nieco ciemniejsza, bowiem wtedy nie wstyd byłoby przycupnąć pod jakim krzakiem. To pierwszy ciemny akcent, miasto nie ma publicznego szaletu. Budowa wodociągów, dla powyższych urządzeń nieodzownych, jest z roku na rok odkładana, nakłady na nią zmniejszono już o 40 proc. W Białej Podlaskiej, mieście liczącym 24000 mieszkańców, nie ma także kina. Filmy wyświetla się, bo przecież wyświetlać je trzeba, w sali, której poprzednim przeznaczeniem była bodajże... stajnia.

— Nie możemy przecież apelować do ludności, żeby rozpoczął budowę kina w czynie społecznym, bowiem, tak czy inaczej, za bilety trzeba będzie płacić. A Wojewódzki Zarząd Kin raczy nas, jak dotąd jedynie obietnicami... Było ich już kilka — mówi Kazimierz Iwanicki.

Gdyby kłopoty zaczynały się na 00, a kończyły na kinie, Biała Podlaska byłaby miastem nie tylko ładnym, lecz także szczęśliwym... Niestety, nie można nie wspomnieć o takich „kolubrynach problemowych", typowych dla całego Podlasia, jak sprawa braku miejsc pracy dla kobiet czy braku dostatecznych środków na budownictwo mieszkaniowe.

Niektóre z inwestycji, o jakie ubiegało się miasto, jak np. budowa fabryki mebli — zostały skreślone z planu przez Państwową Komisję Planowania przy Radzie Ministrów, inne są przedmiotem dyskusji. Pod znakiem zapytania stoi nawet budowa tak potrzebnych dla rejonu bialskiego zakładów przetwórstwa owocowo - warzywnego. Władze powiatowe czynią starania o przeniesienie do Białej Podlaskiej zakładów z Warszawy lub Lublina, w ramach deglomeracji. Tymczasem jednak miejsc pracy brak...

Mówi Alicja Szałkowska, kierownik Wydziału Zatrudnienia PRN:

— Niestety, nic nie wskazuje na to, że najbliższa przyszłość przyniesie jakieś korzystne zmiany. Robimy wszystko, żeby sytuację poprawić, najbardziej potrzebującym przydzielamy zasiłki, prowadzimy intensywne szkolenie kobiet starających się o pracę, a nie posiadających żadnych kwalifikacji. To wszystko są jednak półśrodki...

Pytam o możliwości radykalnej poprawy obecnej sytuacji.

— Przy niewystarczających środkach na nowe inwestycje — radykalna poprawa jest mało prawdopodobna. Sądzę, że mogą ją przynieść jedynie decyzje centralne, obniżające o kilka lat wiek emerytalny... Warto na ten temat rozpocząć publiczną dyskusję...

Dwudziestu rzeźbiarzy

Nie ominęły Białej Podlaskiej kłopoty gospodarcze, inwestycyjne, znacznie lepiej natomiast niż w innych miastach Podlasia przedstawia się sprawa młodzieży, dla której spędzanie wolnego czasu na spacerach „w kieracie", jest tylko jedną z wielu możliwości...

Widać troskę o młodzież, widać rezultaty tej troski. W zimie urządza się lodowiska, zawody łyżwiarskie i narciarskie, w lecie organizuje się spływy kajakowe i wycieczki. Wszyscy chętni mogą korzystać ze sprzętu sportowego, dla wszystkich udostępnione są boiska. Ogromnym powodzeniem cieszy się doroczna Miejska Spartakiada Sportowa o nagrodę przewodniczącego Prezydium MRN, w której bierze udział po kilkaset zawodników.

Oczywiście młodzież bywa różna. I w Białej Podlaskiej są grupy, których „działalność" jest trudna do opanowania. Trzeba umieć do nich trafić, tak jak trafił p. Niewiadomski, rzeźbiarz-amator, który ubiegłe lato pracowicie spędzał w bialskim parku, rzeźbiąc w drzewie. Przez wiele dni kilkunastu chłopaków płatało mu różne figle, niekiedy bardzo niemiłe, a kiedy nie zwracał na to wielkiej uwagi — przedmiot jego pracy zainteresował ich. Zaczęli przyglądać się, potem pomagać, i skończyło się na tym, że około dwudziestu młodych gniewnych zaczęło dłubać w drzewie, przy czym rezultaty pracy niektórych były ciekawe także z artystycznego punktu widzenia... W tym roku Niewiadomski wyjechał

(Dokończenie na str. 11)

KAZIMIERZ EUGENIUSZ STESZUK

spowiedź poety

słońce nad tobą i w tobie
i czas idący skrycie
ziemio pachnąca bochnem chleba
otwarta jak źrenic wnętrza
tobie pokłon
i wiersze

od katedralnej góry
wiatr popędza kierdele chmur
smukłe palce kominów
skąpane w cementowym pyle
dźwigają zadymiony nieboskłon
to chełm
miasto młodości
mój dom
polska

o miasto klęczące u podnóża gór
gdzie ogrody pachną zielenią
gdzie ulice wyśpiewują kantaty serdeczne
gdzie kamienic spokojny oddech
wśród brunatnych drzew
chwieje milczeniem
gdzie kamena dosiadłszy pegaza
galopuje reformackiej brukiem —
pozdrawiam ciebie

starzeje się jak drzewo
a stopy czasu srebrzą moje skronie
lecz oddech twego ciepła
to przeciw śmierci broń

o miasto!
grodzie radosny wśród kredowych wzgórz
czy słyszysz moją spowiedź
spowiedź poety?

Chełm

ANDRZEJ MALINOWSKI

REPORTAŻ o molach gardzących futrami

Najpierw godzi się chyba przedstawić bohaterów tego naukowego przedsięwzięcia, które skończy się być może (odpukać w niemalowane drzewo!) czymś więcej niż ściśle teoretyczne wnioski. A że zawarcie proponowanej znajomości może okazać się ciekawe i pouczające, nie będę przeto skracał tej wstępnej ceremonii.

Państwo pozwolą zatem: profesor doktor Adam Paszewski, człowiek niemłody już, ale energią prześcigający swych asystentów, zawsze dowcipny i zaskakująco ruchliwy. Doktor Barbara Dudziak i magister Elżbieta Drożdżowska — to jego najbliższe współpracowniczki, a imponujący brodacz to magister Jóźwik, w którym profesor znalazł asystenta nad wyraz udanego.

Dr Barbara Dudziak

Dalsza prezentacja musi się, niestety, odbyć pod stołem, gdzie umieszczono drucianą klatkę zamieszkałą w niebywałym zagęszczeniu przez kilkaset włochatych owadów, którym entomolodzy nie poskąpili uroznaiconych nazw. Pragnę jednak zapewnić, że barciak większy, woszczyniaczek i Galleria mellonella to ten sam mól woskowy — niepozorny, szarobrązowy motyl przypominający małą ćmę o rozpiętości skrzydeł nie przekraczającej trzech centymetrów. Szara masa leniwego paskudztwa obsiadła szczelnie płaty pszczelego wosku, który z apetytem zajadają gąsiennice tego niezwykłego owada.

O niezwykłości barciaka zadecydował właśnie wosk — substancja znana powszechnie i znajdująca liczne zastosowanie w przemyśle i życiu codziennym. Barciak jednak upodobał sobie wosk dla celów kulinarnych i jako jeden z nielicznych żywych organizmów potrafi rozkładać i trawić ten niezwykły pokarm. Podobne do niego gastronomiczne zamiłowanie zdradza jedynie kilka pokrewnych mu motyli z rodziny omacnicowatych i — o dziwo— jeden kręgowiec: nie większy od gołębia, szary ptaszek afrykański Indicator indicator, który zresztą w poszukiwaniu woskowego przysmaku wskazuje tubylcom drogę do pszczelich barci.

Na prezentację czekają jeszcze ostatni bohaterowie naszej opowieści, mnożąc się beztrosko w probówkach na smakowitej pożywce Santona. Tymczasem żyją sobie bez przeszkód, ale być może już wkrótce — biada im! Mamy bowiem do czynienia z przedstawicielami flory bakteryjnej, która przysporzyła już ludzkości niemało kłopotów — w probówkach przyczaiły się mętnobiałym kożuchem same Mycobacterium tuberculosis, groźne prątki gruźlicy.

Oto i ceremonia prezentacji skończona. Jeśli dodam jeszcze, że akcja toczy się w Zakładzie Fizjologii Roślin Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, można będzie wreszcie przystąpić do rzeczy...

Zapłacił głową

Gardzące tradycyjnymi futrami woskożerne mole, które zwróciły swe apetyty w kierunku pszczelich barci i po dziś dzień wyrządzają w pasiekach niemałe szkody, od dawna stały się przedmiotem zainteresowania naukowców. Kulinarne zamiłowanie barciaka do wosku, a zwłaszcza jego zdolność trawienia tego niecodziennego pokarmu, wskazywały na obecność w przewodzie pokarmowym motyla nieznanej substancji chemicznej umożliwiającej rozkład woskowego pożywienia. Być może — rozumowano — wchodzi tu w grę jakiś enzym wytwarzany przez ustrój mola, a może chodzi o lipidy produkowane w jego przewodzie pokarmowym przez nieznane bakterie. Jedno i drugie jest możliwe, choć obie wersje pozostają na razie w sferze hipotez — do dziś bowiem nie wiadomo, jak to jest naprawdę z owymi trawiennymi zdolnościami woszczyniaczka.

Przypuszczam jednak, że mimo całej niezwykłości motyla nie zwrócono by na niego tak bacznej uwagi, gdyby nie ciekawa właściwość innego żywego organizmu — wspomnianego już prątka gruźlicy. Wiadomo bowiem, że jednokomórkowy ustrój Mycobacterium tuberculosis osłonięty został przez naturę szczelną otoczką ochronną, zbudowaną właśnie z substancji zbliżonej do wosku. Ta zośliwość przyrody, dająca groźnej bakterii dużą odporność, spędza sen z oczu mikrobiologów i biochemików, szukających odpowiedzi na pytanie: jak dobrać się do wnętrza bakterii, aby poddać je działaniu znanych już medycynie, zabójczych środków?

W poszukiwaniu odpowiedzi na to dręczące pytanie, przypomniano sobie o woskożerności barciaka i awansowano Gallerię mellonellę do rangi potencjalnego sprzymierzeńca człowieka w walce z gruźlicą. Niepozorny motyl miał jednak zapłacić własną głową za to zaszczytne wyróżnienie...

Rosyjski uczony, profesor Metalnikow, który w roku 1906 po raz pierwszy skojarzył sobie woskową otoczkę prątków gruźliczych ze zdolnością trawienia tej substancji przez barciaka, wpadł bowiem na ciekawy, choć zabójczy dla motyli pomysł. Sporządził on wyciąg z larw motyla i poddał jego działaniu hodowlę bakterii gruźliczych. Skoro sam owad — rozumował uczony — potrafi trawić wosk, może wyciąg z jego organizmu upora się z przeklętą osłonką skutecznie chroniaca Mycobacterium... Podobno w doświadczeniach Metalnikowa odporność chorobotwórczych prątków znacznie malała po owym zabiegu, ale dla praktyki klinicznej tamtych lat nic z tego jeszcze nie wynikało. Prace zarzucono, a podjęcie ich w późniejszym okresie przez kilku innych uczonych, również nie przyniosło oczekiwanych skutków. Do niedawna ślady ciekawej idei można było odnaleźć jedynie w specjalistycznym piśmiennictwie naukowym.

Postrach prątków

Skomplikowane preparowanie wyciągu z nieszczęsnego barciaka przypomina po trosze zawiłe machinacje alchemiczne w średniowiecznym laboratorium. W największym skrócie recepta lubelskich naukowców, którzy podjęli ideę Metalnikowa, jest następująca: ściśle odważoną liczbę motylich larw zagotowuje się w wodzie destylowanej, rozciera w moździerzu i sączy przez gęstą gazę. Otrzymany płyn podlega następnie wielokrotnemu działaniu acetonu i eteru, które to substancje pozbawiają go tłuszczu — larwy barciaka są ponoć niebywale

(Dokończenie na str. 11)

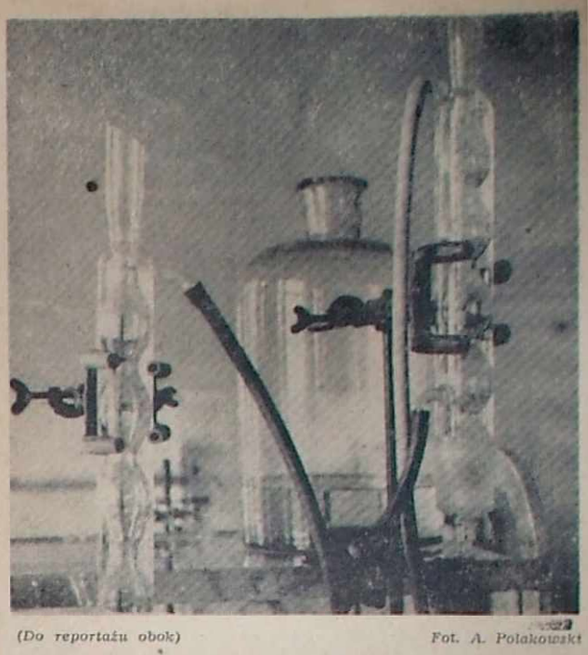

(Do reportażu obok) *Fot. A. Polakowski*

EDWARD ZACHAJKIEWICZ

Szkolnictwo Opola na przełomie XVIII i XIX wieku

MIASTO Opole w województwie lubelskim znane jest z pierwszego gimnazjum rzemieślniczego, założonego w 1764 roku, 4-letniej szkoły wydziałowej ks. pijarów oraz szkoły elementarnej (klas początkowych) przygotowującej do szkoły wydziałowej.

Zgromadzenie ks. pijarów zostało sprowadzone do Opola staraniem wojewody sandomierskiego w roku 1743. Pierwszym superiorem w Opolu był ks. Ignacy Konarski, brat sławnego i znanego Stanisława Konarskiego. Szkołę wydziałową Opole zawdzięczało księciu Aleksandrowi Lubomirskiemu. On to chciał podnieść autorytet Opola, a tym samym stworzyć *„postronnym i poddanym"* wyższą edukację. Wybudował trzy „górne", zupełnie nowe sale od fundamentów, dwie sale „dolne" przerobił i w roku 1800 oddał młodzieży pięć sal wykładowych.

W roku 1801 otwarto gimnazjum, które zatwierdził dekretem cesarz Franciszek II dopiero w 1803 roku. Od tego czasu szkoła wyższa w Opolu składała się z trzech klas normalnych i pięciu klas gimnazjalnych.

W roku 1829/30 w 4-letniej szkole wydziałowej ks. pijarów uczyło się 136 uczniów. Zatrudnionych było 12 nauczycieli, w tym 7 duchownych. Wśród duchownych pracował ks. Piotr Sciegienny wykładając: religię w klasie I, język polski w kl. III, język łaciński w kl. II i III oraz geografię w kl. I.

W szkole wykładano następujące przedmioty: język polski, język łaciński, język niemiecki, religię, nauki moralne, geografię, historię naturalną, historię Polski, historię powszechną, matematykę, fizykę, chemię, historię świata, rysunki, kaligrafię i technologię.

Naukę języka łacińskiego rozpoczynano w klasie pierwszej i uczono do klasy IV włącznie, zaś naukę języka niemieckiego rozpoczynano od klasy II. Podobnie nauczanie historii — dopiero od II klasy. Chemii uczono tylko w IV klasie. Fizyki uczyła się młodzież w kl. II, III i IV. W IV klasie wprowadzono technologię. W nauce zwracano uwagę na pismo, ponieważ w ciągu trzech lat nauki, począwszy od I klasy, uczono kaligrafii.

Niektórzy uczniowie pobierali lekcje muzyki. Uczniowie zaś zamieszkujący w konwikcie, zorganizowanym przy szkole, będący w II i IV klasach uczyli się dodatkowo języka francuskiego. Język ten umożliwiał młodzieży przejście do szkół wojewódzkich.

Latem, w celu praktycznego zrealizowania programu w zakresie geometrii, uczniowie mierzyli grunty i robili plany. Klasa III w roku szkolnym 1829/30, korzystając ze stolika oraz lasek, mierzyła i wykonywała mapę osady Piszczek. Klasa IV zaś, wykorzystując zasób wiadomości z trygonometrii, opracowywała cząstkowe plany okolic Opola, a w szczególności osady Zajeziorze.

Klasa IV w odpowiedniej porze roku odbywała wycieczki botaniczne. Przy szkole istniała biblioteka, licząca 491 tomów, oprócz map, atlasów, wzorów rysunkowych i kaligraficznych.

Istniało także w szkole „muzeum narzędzi fizycznych" dla ułatwienia wykładów z fizyki. Pomocy do fizyki było 82, do matematyki — 23. Ponadto był zbiór najpotrzebniejszych aparatów chemicznych dla wyjaśniania uczniom główniejszych zjawisk. W gabinecie mineralogicznym było 135 eksponatów. Można powiedzieć, że wówczas zwracano także uwagę na wyposażenie gabinetów i pracowni. Stworzyło to lepsze warunki do pracy młodzieży, która mieszkała w mieście, bądź w konwikcie przy szkole. Uczniowie zamieszkujący w mieście byli zgrupowani w trzech rewirach. Rewiry te pozostawały pod stałą opieką nauczycieli szkoły, którzy mieli obowiązek kontrolowania mieszkań uczniowskich w różnych porach dnia. Podczas zwiedzania mieszkań nauczyciele kontrolujący mogli przeglądać książki, papiery oraz rzeczy ucznia. Uwagi pokontrolne były wpisywane do osobnych książek, zwanych „kontrolkami". Kontrole stancji uczniowskich przeprowadzał także rektor. W czasie wizytacji szkoły odwiedzał mieszkania prywatne uczniów Kurator Szkół Województwa Lubelskiego. On także, po zbadaniu stanu mieszkania i rzeczy, wpisywał uwagi we wspomnianej książce kontroli.

Ponadto, zgodnie z przepisem Wysokiej Komisji Rządowej WR i OP, ustanowieni byli *„dozorcy domowi"*, czyli tak zwani *„dyrektorzy"*, lub *„korepetytorzy"*. *„Dozorcy domowi"* byli ustalani na jednym z comiesięcznych posiedzeń nauczycielskich spośród uczniów celujących *„bogobojnością, obyczajami i nauką"*. Każdy z tzw. dozorców domowych miał pod opieką kilku uczniów. Uczniowie ci musieli uczęszczać na korepetycje do swoich opiekunów, a także pozostawać pod ich domowym nadzorem. Dozorcy musieli mieć mieszkanie w takich punktach, w których mieszkała największa liczba uczniów na stancji. Według opinii ówczesnej wprowadzenie takich opiekunów było potrzebne. Jednakże rodzice, wychodząc z założenia, że ich dzieci są *„pracowite i moralne"*, uważali tę instytucję za zbędną. Stworzenie takiego zespołu opiekunów prowadziło do podwójnego roztoczenia opieki nad uczniami a w szczególności mieszkającymi w murach pijarskich. Warto tu chyba dodać, że w zabudowanach pijarskich mieszkała większość uczniów. Mury te mają dość ciekawy początek. Ks. Ignacy Konarski chciał w 1756 roku założyć szkołę publiczną w Opolu. W realizacji tego zadania napotkał na wiele trudności. Postanowił wobec tego założyć w tym mieście gimnazjum rzemieślnicze.

Dla tego gimnazjum w 1758 r. rozpoczął budować za zezwoleniem dziedziców Opola *„ozdobny i obszerny"* gmach z pawilonami. Budowę zakończył w ciągu kilku lat. Otwierając to gminazjum miał na uwadze kształcenie młodzieży niższego stanu przez *„umiejętnych majstrów"*. Absolwenci tej szkoły mieli według założeń być wykwalifikowanymi rzemieślnikami dla różnych prowincji Polski.

Gimnazjum rzemieślnicze istniało niedługo, inne bowiem miasta, a w szczególności Lublin, ubiegały się o takie gimnazjum. Ponadto powstały trudności z doborem *„umiejętnych i dobro ogółu mających na celu majstrów"* oraz kłopoty związane z wykorzystanem funduszu założyciela. Sytuacja ta doprowadziła do tego, że w gimnazjum rzemieślniczym w latach 1829/30 pracowało tylko 6 rzemieślników-majstrów.

Ponieważ zabudowania były obszerne, stąd i wielu uczniów szkoły wydziałowej mieszkało tu wraz ze swoimi dozorcami. Sąsiedztwo uczniów z nauczycielami i dozorcami miało dodatnie strony. Częsta kontrola pozwalała mobilizować uczniów do nauki oraz uczyć ich porządku, dyscypliny i pracy. Ponadto sposób oceny pracy był właściwy, nazwiska bowiem uczniów, osiągających dobre wyniki w nauce, były umieszczane w „księdze sławy".

Pod koniec każdego roku szkolnego w szkole odbywały się publiczne popisy młodzieży. Uczniom celującym *„bogobojnością, obyczajami i nauką"*, wręczano nagrody oraz udzielano pochwał.

Na zakończenie warto dodać, *„że uczniowie wnosili także opłaty w wysokości 9 złotych polskich od każdego, co pół roku"*.

BOGDAN LOEBL

Miłość

Mówią że byłaś
jak gdyby nie widzieli
jak twoje nogi
przekształciły się w moich oczach

utrzymują że mówiłaś
jak gdyby
nie rozróżniali barw

twierdzą
że słyszeli twój śmiech
jak gdyby oczu nie mieli
świątlocztych

rozpowiadają też
że posiadałaś skórę
która potrafiła być okrągła
która umiała być smukła
i że serce biło pod nią

a przecież
ciebie
stworzyłem ja

teraz czekam

może nadejdzie pora dobra
i mnie
uda się stworzyć.

Rzeszów

MARIA BECHCZYC-RUDNICKA

Spór nieustający

DO DNIA 11 października, kiedy zaczęto wyświetlać „Popioły" w Lublinie, ukazało się już sporo recenzji premiery warszawskiej. Z zasady nie wzięłam ich do ręki, zanim nie zobaczyłam filmu na własne oczy. Wyjątek stanowi ocena K. T. Toeplitza, bo akurat nadszedł nowy numer „Kultury", pokusa była zbyt silna, no i polknęłam „Tragizm historyczny i tragizm absurdalny". „Ależ KTT zjechał Wajdę" — powiedział ktoś z mego otoczenia, gdy skończyłam lekturę. „Oho — odrzekłam — zaczyna się spór z dwóch przeciwnych pozycji historiozoficznych, niczym po ukazaniu się książki Załuskiego". Jakoż niebawem miał się odezwać w „Stolicy" i sam Załuski, miażdżąc z kolei artykuł Andrzeja Jareckiego (p. „Sztandar Młodych", 26—27.IX), który istotnie zawierał szereg dziwnych i niefortunnych sformułowań. A i redakcja „Kultury" nie omieszkała zamieścić dyskusji pięciu wybitnych historyków, różniciując wypowiedzi czcionkami drukarskimi w sposób nieco zaskakujący...

Otóż jest rzeczą jasną, że spór o epokę historyczną, którego film Wajdy stał się katalizatorem, ma nie tylko głębokie, lecz i bardzo aktualne podłoże. Spór ten nie mógł nie wybuchnąć przy aktualizacji „Popiołów". Trwa on od kilku pokoleń i na „Popiołach" się nie skończy. Jest to spór potrzebny, ożywczy, który w różnych już momentach chronił społeczeństwo przed marazmem i cynizmem. Niepokojące są jednak niekiedy metody antagonistów — brak poszanowania dla autentycznej postawy dyskutanta reprezentującego pogląd odmienny od naszego. Jakże często słyszeliśmy jeszcze niedawno przy próbach „nowego odczytania" klasyki: *„Fredro nie zrozumiał..."*, *„Rittner nie zrozumiał..."*, *„Tołstoj nie zrozumiał..."* itd., itd. Tylko o Mickiewiczu i Słowackim wyrażano się ogólnie, ale też jakie z nimi były kłopoty! Teraz słowa „nie zrozumiał" padają z innej strony barykady, *tempora mutantur* — okazuje się, że *„ani Wajda, ani jego scenarzysta nie zrozumieli Żeromskiego"*. A nuż kto inny powie, iż właśnie Ścibor-Rylski i nasz znakomity reżyser filmowy Żeromskiego zrozumieli, natomiast nie zrozumiał na dobre Wajdy, ani nie chce zrozumieć Żeromskiego, niestety, autor tej czy innej błyskotliwej wypowiedzi? O tym kto czego nie zrozumiał można dyskutować poważnie tylko opierając twierdzenia na precyzyjnych konkretach z książki, wymagałoby to przestrzeni zadrukowanej cytatami znacznie przewyższającej możliwości czasopisma. Faktem wszak pozostaje, że Wajda miał ekranizować powieść, nie zaś przedmowę Żeromskiego do jej szwedzkiego wydania, że wrażliwość na krzywdę chłopską jako jeden z czynników, które zaważyły niekorzystnie na dziejach narodu, występuje u Żeromskiego wyraźnie nie tylko w „Popiołach", ale i wcześniej, choćby w „Żołnierzu tułaczu", i później w „Przedwiośniu". Ta troska znalazła odbicie na ekranie. Natomiast nie mógł film pokazać przedsmaku pożytecznych instytucji Księstwa Warszawskiego (wraz ze świetnym kodeksem Napoleona!), ponieważ tych rzeczy w powieści nie ma. Czy zresztą nadaje się naprawdę do powszechnego, jednomyślnego przyjęcia twierdzenie, iż szlachecka Polska przez włączenie jej spraw „w krwiobieg napoleońskiego cesarstwa" stała się „nowoczesną społecznością narodową"? Sądzę, że „narodowa świadomość polska" jeszcze długi czas pozostaje zaszczytną zdobyczą samej inteligencji (i później — klasy robotniczej), przy jednoczesnej obojętności szerokich warstw, krzywdzonych ekonomicznie i upośledzonych w rozwoju. Czy nie można by raczej zaryzykować zdania, iż pełna, powszechna świadomość narodowa zrodziła się dopiero z męczeństwa i walk czasu okupacji oraz z reform i trudności powojennych? A w takiej mierze, jak za Księstwa Warszawskiego, tj. w kręgach światłych przywódców narodu, polska świadomość narodowa istniała już w okresie tworzenia Konstytucji 3-majowej.

Niejednokrotnie przy różnych sposobnościach dotykałam sprawy adaptacji. Adaptacja, która się w naszych dniach szerzy z niebywałym impetem, stała się zagadnieniem literacko-tantiemowym pilnie wymagającym uregulowania, zwłaszcza w zakresie przeróbek powieści i nowel na sztuki sceniczne, które przecie, operując nadal przede wszystkim słowem, prawie zawsze, na skutek eliminacji czy „przybudówek", wywołują niedosyt. Film, przekładający mowę artykułowaną na wymowę plastyczną, jest w znacznie korzystniejszej sytuacji. Jego tworzywo pozwala na syntezy wizualne, które w pewnym stopniu rekompensują skróty. Jednakże trzeba pamiętać, że i film nie może oddać mnogości subtelnych odcieni wielkiego dzieła powieściowego, nie może w swej skrótowej formie odtworzyć najbardziej finezyjnych rozważań autora — bez wywołania zamętu w percepcji widza. Film musi z natury rzeczy być tendencyjny w wyborze wątków intelektualnych światopoglądu autora swego pierwowzoru. Zakaz brzmi tylko: nie imputować autorowi tego, czego nie powiedział.

W przeciwieństwie do niektórych recenzentów, zwłaszcza do p. Jareckiego, sądzę, iż każdy człowiek z sercem, Polak czy obcokrajowiec, wyjdzie z „Popiołów" Wajdy głęboko wstrząśnięty, ale bynajmniej nie z uczuciem wstydu czy „upokarzającym" współczuciem dla narodu tylekroć oszukanego, lecz ze czcią i podziwem dla tych bohaterów, którzy go reprezentowali w walkach o niepodległość. Kto czuje inaczej, ten nie jest zdolny — albo chwilowo nie był dysponowany — do właściwej percepcji tego patriotycznego dzieła filmowego.

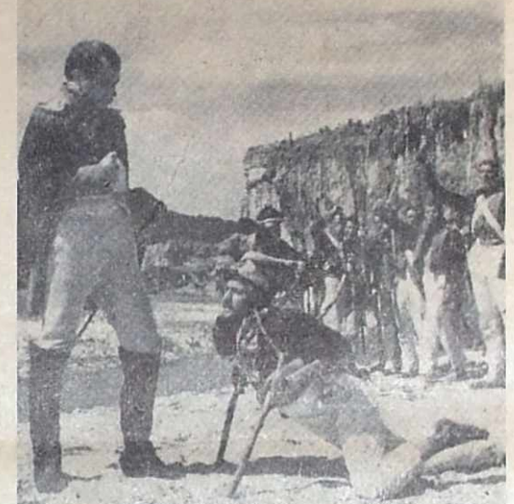

Z niepokazową miłością do swego narodu i w przewidywaniu nowych jego prób, jeśli nie rozwiąże się palących problemów socjalnych, pisał Żeromski swoją tragiczną epopeję. Wajda wyraził w filmie naczelny nurt intelektualny i emocjonalny „Popiołów" Żeromskiego.

Przyznam się, że nie wiem dokładnie, ile czasu kręcono „Popioły", ale w każdym razie to... trochę potrwało. Współczesna dialektyka dziejów ma tempo szybkościowe. Może ktoś uważałby ekranizację „Popiołów" Żeromskiego, z ich niepokojącą wymową, za nie najbardziej na dziś aktualną. Wczoraj o tej ekranizacji decydował na pewno nie tylko sam Wajda i jego współpracownicy — nie obeszło się chyba bez komisji i instancji akceptujących, zatem trzeba by mówić w takim razie o zbyt krótkoterminowym planowaniu niektórych inicjatyw kulturalnych, tych kosztownych, choćby zrealizowanych po części sposobem „gospodarskim". Zamiast tego inkryminuje się Wajdzie rzekomą zdradę dzieła Żeromskiego — nie godziłoby się przecie spierać z samym pisarzem w atmosferze jego ROKU. Takie narzucenie komuś sytuacji walczącego *per procura* może być nie *fair*...

Lecz przejdźmy do paru poszczególnych zarzutów. Przede wszystkim więc sprawa finału z oślepłym Rafalem, czołgającym się po pustkowiu śnieżnym. Mnie się ten pomysł również nie podoba, po prostu dlatego, że metafory takiego rodzaju u Żeromskiego nie ma, a finał utworu jest momentem specjalnie odpowiedzialnym, momentem, kiedy nieporozumienia w interpretacji symbolu mogą ulegać rozszerzeniu na cały utwór.

Drugi poważny zarzut dotyczy postaci księcia Poniatowskiego Trzeba tu o tyle przyznać rację krytyce, że postać rzeczywiście została ukazana nie dość monumentalnie dla szerokich rzesz odbiorców. Jeśli chodzi o moje osobiste wrażenie, to absolutnie mnie nie raziła nieco nonszalancka postawa księcia Józefa, tego bohatera bez bohaterskiej pozy. Odczytałam jego zachowanie się w bitwie jako pełne męskiego niedbania i spokojnej odwagi.

Z kolei — Napoleon. Czy istotnie zjawia się w scenie wizytacji rannych jako „groźny, wzgardliwy satrapa"? Chyba nie. Mamy przed sobą na ekranie zimnego kalkulatora, stratega, męża stanu na skalę światową, jakim naprawdę był, bo „Małym Kapralem" to on stał się tylko w legendzie żołnierzy francuskich.

Niektórzy recenzenci krzywili się na okropności Saragossy. Wystarczy jednak przeczytać na nowo rozdział *„Siempre eroica"*, aby się przekonać, że Wajda nie wykorzystał wszystkich przerażających momentów, jakie są u Żeromskiego, który m. in. pisze o Cedrze patrzącym na posępne miasto: *„Z duszy jego wybuchała zaciekłość, a z ust rwał się mściwy okrzyk: — Musisz i ty zginąć, maro! Nie będziesz nam stała przed oczyma, zmoro przeklęta! Przeciw karnym, przeciw regularnym, przeciw ćwiczonym czworobokom stawiasz dumę swej woli, potęgę swojej wyniosłej anarchii! Cha, cha! Musisz zginąć"!* Jeno, że zapomina się przy tym, iż na filmie takie rzeczy wychodzą dosadniej. Ano, mówią, trzeba było retuszować. Toteż Wajda tu retuszował, ale jakże dalece można posuwać retusz bez fałszowania pierwowzoru? Wszak i Saragossa, i sprawa Murzynów z San Domingo są tragicznymi paradoksami dziejów wyzwoleńczych Polski. Trudne, taka jest wojna. Film Wajdy ma mocną wymowę antywojenną, co czyni go ze wszech miar aktualnym, zwłaszcza na zagranicę.

Ze „Popioły" filmowe są „ilustracją" powieści? Ależ skoro reżyser korzystał z obrazów literackich Żeromskiego, tym samym odtwarzał ich wymowę. Niepotrzebne były tylko, moim zdaniem, na ekranie tytuły poszczególnych „rozdziałów" książki, wprowadzone jak gdyby dla zadokumentowania łączności z dziełem Żeromskiego, czy to jako „łączniki" treści filmu. Obydwie łączności wydają mi się i tak niewątpliwe, natomiast właśnie napisy — nieco bałamutne, gdyż nie zawsze pokrywają się z wykorzystanym tekstem. Wajda dokonał przecie szeregu przeniesień, częstokroć tak udatnych, jak przeniesienie kulminacyjnego momentu z „Mantui" do Wyganki (retrospekcja), a z drobniejszych, powiedzmy, korekt stylistycznych — podanie tekstu „rozmowy" Heleny z gwiazdami — w postaci jej listu, który czyta elegijnie po jej odejściu de With.

Słyszałam już zarzuty, że film ma dwa style: realistyczny (a miejscami brutalnie naturalistyczny) i symboliczny. Prawda. No i cóż z tego? Nie w szufladkach teoretyków tworzą się nowe gatunki artystyczne. Wszakże i nowoczesne malarstwo operuje śmiało i farbami, i kawałkami różnych materiałów. A blade „wizje" Wajdy, zręcznie nawiązane do bardziej jędrnej rzeczywistości, są wielce sugestywne, oddając niekiedy adaptacji niemałą przysługę, choćby w tak drastycznym momencie, jak scena gwałtu Heleny, kiczowata w książce.

Nie mam już miejsca na omówienie rysunku postaci. Dodam jedynie, że uważam go za wynik głębokiego przemyślenia koncepcji, w której rozwój poszczególnych osób jest raczej podporządkowany dalszemu, potężniejszemu ukazaniu zbiorowości.

Film trwa ponad cztery godziny. Tak, istotnie za ciężki ładunek wrażeń. Toteż radziłabym oglądać te dwie serie z osobna. Czyż nie przerywamy lektury kilkutomowej książki? Przy spojrzeniu „ratalnym" (wybaczcie słowo) może się okazać, że tego, co odczuwamy jako dłużyznę, wymaga „czas ekranowy" (przykład — Kulig, będący zarazem podbudową pod charakterystykę szerokiej natury słowiańskiej Rafała i wielu innych postaci. A że obrz... ... przy tym bogaty i malowniczy, to chyba dobrze). Ów czas ekranowy gra w filmie taką rolę, jak rytm i tempo w poszczególnych częściach symfonii.

Andrzej Wajda stworzył wielkie dzieło filmowe, które zaktualizowało „Popioły" Żeromskiego na pewno bez ujmy dla idei patriotycznej narodu.

Zbigniew Nosal

BIAŁY KOŃ

JASNĄ plamą odcinał się od nadnidziańskiego wzgórka, ruchomym kształtem, który po dłuższym z tej odległości wpatrywaniu okazywał się siwym koniem leżącym z wyciągniętymi kopytami i wyciągniętą szyją, nadaremnie starającym się unieść wielki łeb odrzucony od ciała dalej niż można by przypuszczać, jak coś ogromnie zbytecznego i niepotrzebnego.

Może nawet lepiej, że nie podszedłem tam blisko. Nie należy do przyjemności oglądanie zdychającego zwierzęcia, wystających spod siwej sierści żeber, spracowanych gnatów, much wstrętnym rojem oblegających zamglone i może już nawet nie wilgotne oczy.

Leżał sobie tam, kilkaset kroków za wsią na piaszczystym wzgórzu, parę metrów od rzeki i oddawał swojemu bogu umęczonego ducha, odwróciwszy się tyłem do wiązki siana, którą litościwy Cedro podrzucił mu na ostateczny futer, przed ostatnią końską drogą, bo to chyba siwek Cedry był, ten niepotrzebny już nikomu koń, zdychający od przedświtu nad Nidą w zupełnej samotności i opuszczeniu. Przecież nawet dzieci ciekawskie tam nie zajrzały, ani gospodarz, zwłaszcza, że inne musiał mieć sprawy na głowie, skoro — jak opowiadał mi Rut — wrócił z wojska Piotrowy syn i od rana popijali z Cedrą przed sklepem jabłkowe, patykiem pisane wino, zanim tamten młody zupełnie rozkruszył się przed ojcowym domem i płakał i klął, i płakał, aż znowu trzeba go było prowadzić pod krzaki bzu i kupić następne siedem butelek.

Rut przyszedł do mnie wcześnie rano i zdziwiłem się, że nie w chustce zawiązanej przemyślnie na głowie, chustce z węzłami na czterech rogach, której zdjąć się na zawołanie nie da i czapkować nie trzeba nikomu, jeśli człowiek nie ma na to szczególnej ochoty, i od razu, bez wstępów, zaczął, że Ezaw wrócił, Piotrowy syn, i do domu dostać się nie mógł, no bo jakże, chociaż ślęczał przed drzwiami z godzinę, potem poszedł do wuja, do Cedry, i stary próbował mu wytłumaczyć wszystko, a że tłumaczenie takie u chama bez wińska się nie obędzie, przed sklep go zaciągnął i popijają tam jak w gospodzie, między krzakami bzu, na ławce, co im sklepowa wyniosła, kiedy już tacy dobrzy z nich sprzągnieni klienci.

Rut dobrze całą sprawę zna i zanim pożegnał się ze mną, no to bądź zdrów, opowiedział wszystko, bo akurat teraz latem mniej przy pleceniu koszyków roboty, więc czas miał na pogwarkę przy prelazku na płocie i opowiadał o Piotrze zdarzenia stare, bez związku, czasem nużące rozwlekłością, ale przecież nie mogłem mu przerywać, ostatecznie rzadko mam z nim okazję i nie wypada przyjacielowi ojca robić przykrości.

Mówił, że opowiadali mu o Piotrowej psu na buty gospodarności, bo on sam rzadko w te strony zagląda, chyba gdy jesienią poprosi ktoś koszyki grodzić, albo dawniej na weselu zagrać na skrzypcach, póki jeszcze skrzypce w muzyce w modzie były, wtec powiedzieć na pewno nie może, ale słyszał o Piotrze rzeczy najrozmaitsze, mało pochlebne, nawet z czasu wojny, gdy inni u Jędrusiów byli lub w innej konspiracji, Piotr się bał nosa za drzwi wystawić i żeby chociaż swoje dwa stajania gruntu obrobił, nikt nie miałby pretensji, ludzka rzecz bać się, tylko on nawet w polu nie robił, sam wiem — patrzył ciągle na ręce Heleny i na synów się oglądał ledwie po pas mu sięgnęli, a na dodatek bimber zaczął pociągać, no i kobiety także były mu osobliwie miłe.

Rut wie, że ja wiem o paru jego zalecankach, kłopotach z kobietami chętnymi obejrzenia wcale nieprzyzwoitych francuskich tatuaży na przedramionach i brzuchu, ale rzecz nie jego Ruta dotyczy, wie również, że nie wypomnę tamtych sprawek, to o Piotra przygodach wieczornych z sąsiadkami jeszcze mówił, powrotach późnych okraszonych śpiewem i smrodem piwa, awanturach z Heleną, którą niby odchodził, żeby go zatrzymywać musiała, wylatywać nocą w koszuli na sągródkę przed dom, nawet za futkę czasem, na drogę albo na wygon. Wracał wtedy jakby udobruchany, ale przecież nieszczęśliwy i Helena przepraszała go, pocieszała, prosiła niech spokój da, cóż ona sama poradzi, zresztą ona też nie bardzo potem do tej siarki pod Tarnobrzeg chciała, w czasowej miłości synowskiej szukając oparcia dla swojego strachu przed nieznanym. Zmarło się jej nijako, za wcześnie, i już uczynić nie mogła nic, a choć Ezaw na jej pamięć zaklinał, awantury w czasie urlopu urządzał, jednak Piotr uparł się: „gówniarz nie będzie mną rządził, taką ziemię, tyle ziemi, co mam, tam w doniczkę zabiorę". Odpowiedrią chwilę wykorzystał i pojechał lepszego szukać zebrawszy ten drobiazg, pięcioro dzieci, co był w domu i do Ezawa list napisał: „jesteśmy synu w siarce, to z wojska do nas tam przyjedź, nie nad Nidę". Ezaw, jak sam chyba widzę, nad Nidę jednak przyjechał, za wsią, domem i rodziną matki najbliższą stęskniony, wypiął się na Piotra i najpierw tu, że aż dziwne skąd u młodego chłopa, co przecież kawałek świata zobaczył, takie dzisiaj cudactwa, jak ze siwkiem starego Cedry.

Możliwe, niedokładnie pamiętam, ale tak jakoś Rut mówił rękę mi podając, bądź zdrowy, i poszedł sobie podnosząc wysoko nogi w ulicznym kurzu, wyprostowany, sprężysty, jakby mu mniej lat było niż ich przeżył w rzeczywistości.

Myślałem nawet trochę o tym koniu patrząc za nim, za Rutem idącym wzdłuż chrustowego płotu, omiatającym prawą nogawką zakurzone pokrzywy i osty, zaraz przecież spojrzałem na chałupę Piotrową, gdzie teraz dom ludowy i zobaczyłem ich. Obaj tam szli w najlepszej komitywie, jaką stwarza wśród mężczyzn wspólnie wypity kieliszek wódki, prowadzili się pod ręce, przystawali dla wypowiedzenia trudniejszych słów, bardziej skomplikowanych zwrotów przystawali na środku drogi, kołysząc się lekko ruchem do przodu i w tył podejmowali osobliwy marsz, i myślę, Cedro ciągle tłumaczył Ezawowi decyzję ojca, mówił, lepiej, że zrobił tak, do roboty nie był przecież nigdy pies, osiem dziennie jakoś przerobi i spokój. Nie miała racji matka, nie miała, bo co on by na głupich kilku morgach zwojował, albo ty zwojowałbyś na tej ziemi, kiedy u was do żarcia tyle gęb, pomyśl, czy umiesz robić cuda, bo ja nie umiem, mówił, robić cudów, więc lepiej, że stało się jak chciał Piotr. „Wujek ci to mówi Ezawie, a już choćby ze względu na siostrę, na pamięć Helenki nie chciałbym dla ciebie źle, dobrze rozumiem, co jest wieś i miejskie laiwiejsze życie, to już bracie, w wojsku byłeś, sam wiesz najlepiej jak jest".

Zgodnie szli aż do grupki chłopów przed ludowym stojących Piotrowym domem, gdzie chwiejący się i w pół zapewne przytomni przystanęli z sąsiadami pogadać, potem miedy do środka chyba chciał wejść i odradzali mu, nie właź tam, pani doktor z naszymi kobietami rozmawia, albo inaczej odradzali, ale upierał się, myślę, kogoś obraził, bo przytrzymał go jeden niedbale za rękaw i chociaż szarpnął się, już drugiemu wpadł w ręce i nie pozwolili mu podejść tam do progu. Wołał, dranie, to jest mój dom, ale nie pozwolili mu, przytrzymywali i jakbym widział z bliska te uśmiechy i słyszał sens ich słów, bo rozpłakał się głośno patrząc na próg i klął ich, takie syny, i płakał odpechnięty nad rów.

Cedro mówił coś z nimi, gestykulował i odchodził wymijając Ezawa. Obaj wreszcie poszli, jeden za drugim, a wieczorem znowu słyszałem przed sklepem ich śpiew przetykany turkotem wozów i wyszedłem na przełazie siąść i widziałem, na wzgórzu ciągle jeszcze umierał ten biały koń.

JANUSZ WERONICZAK

Jan bez ziemi

Stary Rychtłowski zmarł nagle 28 lutego 1960 roku. Zostawił 4 hektary, 2 krowy, konia, kilka owiec, dwóch synów i córkę, która była trochę nienormalna, sfiksowana, jak to mówili, i która w tym reportażu żadnej roli nie odegra.

„To" znalazło swój początek, kiedy dobrodziej przyszedł do nich z pociechą, pokropkiem i warunkami pogrzebu. Proboszcz powiedział, że pochówek z wyprowadzeniem będzie kosztował 2 tysiące złotych i żeby ktoś te pieniądze na plebanię przyniósł. Na drugi dzień poszli obaj bracia, każdy inną drogą. Spotkali się w zakrystii; jedną myślą kierowani sięgnęli do kieszeni i każdy z nich wyjął po cztery brunatne papierki. Każdy z nich ujrzawszy ruch i pieniądze w ręku tego drugiego, wzdrygnął się i rozzłościł. Może byliby się i pobili o to, kto ma zapłacić, kto ma prawo zapłacić, kto ma „prawo" w ogóle, i czyje prawo będzie od tej chwili obowiązywało. Obaj zrozumieli od razu, że ten, który zapłaci za pogrzeb ojca, będzie od tej pory jego następcą. Patrzyli na siebie tak, jak musieli na siebie spoglądać dwaj synowie króla po śmierci monarchy. Poszukajcie w historii — przypadków nie brak!

Byliby się i może pobili w tej zakrystii, gdyby nie przytomny dobrodziej, który wziął pieniądze od jednego i od drugiego i każdemu z osobna wystawił pokwitowanie. W ten sposób stary Rychtłowski doczekał się najdroższego pogrzebu we wsi. Ten pogrzeb to był początek, wypowiedzenie wojny, zaciekłej, milczącej, toczonej zresztą uczciwie bez podstępów i ciosów w plecy. Polem walki stała się gospodarka. I znowu zrozumieli się bez słowa... (bo słowa jeden do drugiego przez pół roku nie przemówił), zrozumieli się bez słowa, że ten, kto będzie lepiej gospodarzył, będzie zwycięzcą. Gospodarka na tym zyskiwała.

Przed Wielkanocą Mikołaj (młodszy z nich) zdobył eternit i pokrył nim chałupę. W odpowiedzi Jan ogrodził gospodarkę nowym płotem, urządził gnojownik i skanalizował oborę. Pracowali na umór. Czasem kupowali wódkę, a kiedy we łbach poczęło zaszumiała zaczynali się bić, bili się w milczeniu z posapywaniem, dokładnie po chłopsku, tak jak umieją się bić tylko dwaj bracia. Wreszcie w sierpniu przy zwózce z pola koń wpadł nogą w kretowiny i złamał ją. Ten, który nim kierował, rzucił lejce i bat na ściernisko i uciekł do domu. To była przegrana. Wieczorem, kiedy ze spakowanym kuferkiem, takim drewnianym, kwadratowym pomalowanym na ciemnowiśniowy kolor, wychodził za furtkę, Mikołaj, ten młodszy, ten, który zostawał, krzyczał za nim wzdłuż drogi: *„A przyjeżdżaj, to jest twój dom też"* i śmiał się. Cała wieś słyszała, jak on się śmiał.

Pierwsze kroki

Pociąg przyjechał do Lublina około 2 nad ranem. Asfalt był jeszcze mokry i światła przed dworcem odbijały się w nim jak w lustrze. W porównaniu z zaduchem, panującym w przedziale na dworze było chłodno. Jan przysiadł na kuferku, najpierw na peronie, a potem w hallu, i próbował zasnąć. Chrypiący głośnik — ruch podróżnych i własne podrażnione obcością środowiska nerwy nie pozwoliły mu. W pogoni za snem przenosił więc swój kuferek z miejsca na miejsce, aż wreszcie uciekł na skwer i tam na ławce ze skrzynką pod głową doczekał się milicjanta. Po wstępnych paru zdaniach wypowiedzianych tym specyficznym służbowym milicyjnym tonem, że *„co wy tu obywatelu"* i *„tu spać niedozwolone"* okazało się, że milicjant też kiedyś do Lublina ze wsi przyjechał i też swoją pierwszą noc przesiedział na kuferku tyle, że pod Zamkiem. Wypalili papierosa i milicjant doradził mu, żeby się zgłosił do *„zatrudnienia"*.

W *„zatrudnieniu"* nie chcieli z nim w ogóle rozmawiać: *„zameldowania nie macie — roboty nie dostaniecie, nie zawracajcie głowy"*. Na wszystkie próby, tłumaczenia odpowiadano mu: *„W pegeerze też ludzie potrzebni"*. Jeden jedyny raz tylko zapytano go, co umie. Nie umiał nic, co mogłoby się przydać w mieście. Po trzech dniach wydeptywania urzędowego korytarza i spania na ławkach wrócił na wieś.

Mikołaj przyjął go jak gościa, wystawnie, po gospodarsku, siostrze kazał kurę zarżnąć, wódki kupił i łóżko jego do gościnnego pokoju wystawił. W czasie całego wieczoru prawie ze sobą nie rozmawiali, a w każdym razie nie rozmawiali o niczym ważnym. Ważne były tylko dwa momenty w przeciągu całego wieczoru — one zadecydowały o wszystkim.

— *Do sądu pójdziesz* — zapytał Mikołaj.

— *Nie.*

To był ważny fragment, a drugi to rzucone niby mimochodem przez Mikołaja zdanie:

— *W Lublinie w budownictwie pracuje Smus...*

Odwiedziny Jana w domu trwały dwa dni.

Smus pracował jako murarz przy szpitalu na Północnej. Pracował — to może za dużo powiedziane. Kiedy Jan go znalazł, leżał w jakimś wykopie i palił. Na całej budowie nie było prawie nikogo. Wiadomo — żniwa. Cegły muszą poczekać — ludzie się rozjechali. Kierownik budowy nazywał się bodaj Piosik — był technikiem i pochodził spod Puław.

Zapytał: *„Gospodarkę masz". Co umiesz robić? No ja wiem, że nic. Cholerne kmiotki..."* zakończył ogólną sentencją, ale papier dał i posłał do biura. Następnego dnia Jan zaczął karierę budowlanego robotnika. Zamieszkał ze Smusem. Zamieszkał — to znowu za dużo powiedziane. W hotelowym baraku, w pokoju, gdzie mieszkał Smus i jeszcze trzech innych, Jan położył sobie siennik na podłodze i tak spał przez 9 nocy. Pierwszego wieczoru musiał kupić wódkę, żeby się wkupić. Pił Smus, tamci trzej i kierownik czy portier hotelu, który przyszedł ich uspokajać. Pili z wrzaskiem i trzaskiem, z wyrzucaniem butelek przez okno w pokrzywy, żeby mu pokazać jak to się robi po miejsku. Mówili do niego: *„ty, bucu"* albo *„ty, cepie"*, na zmianę. Wódkę zagryzali krojonym w wielkie kostki *„czarnym"* — salcesonem. Potem poszli do miasta, potem uciekali przed jakąś milicją i potem... już nie pamięta.

Pracę zaczął od łopaty, którą sypał piasek na sitko przy betoniarce, z czasem został podręcznym przy murowaniu. Pierwszego miesiąca zarobił 1235 złotych i 23 grosze (trzech groszy mu nie dopłacono).

Którejś soboty znowu pojechał do brata.

— *Nie będę spał w kołchozie* — powiedział. — *To jest mój dom też.*

Do wieczora chodził za koparką — właśnie zaczynały się ziemniaki.

W poniedziałek bardzo rano poszedł 5 kilometrów do Mechlina, skąd przemysłówka zabierała ludzi samochodem i tak odtąd było codziennie. Tylko zimą czasami zostawał w mieście. Na 1 Maja dostał nagrodę. Dostawali ci, którzy najmniej dni w pracy opuścili. Nie było ich zbyt wielu. Ta nagroda podniosła go w oczach brata. *(„No, ho pomyślicie, jak to jest? Pieniądze dają za nic").* Jan zważniał, przywoził z miasta biały miejski chleb, kiełbasę, raz nawet ciastka przyniósł. Spróbowali pod wódkę, ale zemdliło ich. I tak jakoś zupełnie niespostrzeżenie Mikołaj stał

(Dokończenie na str. 10)

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

Pionki kulturalne

POWIAT jest w Kozienicach, po większe zakupy jeździ się do Radomia, lub Dęblina, a samo miasteczko rozsiadło się długim pasem wzdłuż linii kolejowej, po której majestatycznie i nie za szybko toczą się wagony przypominające czasy „Warszawsko-Wiedeńskiej". W alternatywnym porządku zabudowy niewielkie domki towarzyszą blokom osiedla mieszkaniowego, a całość wyodrębnia się w dwa skupiska oznaczone nazwami Pionki i Pionki Zachodnie, które kojarzą się ze znanymi zakładami chemicznymi „Pronit" reklamowanymi na miejscu wielkim neonem „Olimpic" — marką produkowanej tu amunicji myśliwskiej, inny artykuł „wybuchowy" opuszczający co roku fabrykę to 3,5 miliona płyt z wyżłobionym zapisem piosenek Szczepanika, czy Łazuki.

Skromne stacyjki, swobodna i rozciągnięta zabudowa, las przenikający do miasta, że aż trudno uwierzyć w liczbę 15 tysięcy obywateli zamieszkujących Pionki. Większość, bo 4 tysiące, pracuje w „Pronicie", około tysiąca w „Montoergu", kilkuset znalazło zatrudnienie w tartaku, PSS i administracji lokalnej. Jako że miasto nie wyróżnia się specjalnie spośród podobnych, tak i tutaj znany jest dobrze problem, któremu na imię chłoporobotnicy. Słowem: typowe miasteczko średniej wielkości z perspektywami dalszego rozwoju gwarantowanego rozbudową istniejącego przemysłu, miasteczko, w którym nowe granicy ze starym, long play konkuruje z przyśpiewką ludową. Osiągnięcia najłatwiej zaobserwować w wyglądzie zewnętrznym zarysowanym rzędami kolorowych domów i kreskami anten telewizyjnych, w diagramach obrazujących dynamikę rozwoju „Pronitu", którego bieżąca produkcja jest niemal pięciokrotnie wyższa niż w 1956 r.

Co jednak robią ludzie po pracy, gdzie wypoczywają, bawią się, jakimi drogami i w jakiej formie dociera tutaj kultura? Każda odpowiedź prowadzi do dużego budynku o fasadzie utrzymanej w „socstylu", którego oficjalna nazwa „Zakładowy Dom Kultury im. Bohaterów Studzianek przy Zakładach Chemicznych „Pronit", tylko częściowo określa rolę i zakres działalności tej placówki.

Trzeba bowiem wiedzieć, że o Domu Kultury w Pionkach głośno w całym województwie, sekcję estradową z zespołem muzycznym „Klops" znają dobrze mieszkańcy wszystkich bez mała miasteczek powiatowych Kielecczyzny, żołnierze jednostek wojskowych, chłopi wielu wsi i uczestnicy centralnych akademii związkowych. Do dziś Pionki z dumą wspominają udział „Klopsu" w czerwcowym programie telewizji warszawskiej, związanym z Ziemią Kielecką. Te wojaże zespołu nie pozostają bez echa w rodzinnym mieście, ba, mają

(Dokończenie na str. 9)

(Dokończenie ze str. 1)

dowiskową, nie ma stolików. W klubie — wyścielane gąbką fotele, ale brak czasopism.

Wszystkie sprawy związane z kulturą (świetlica, klub, radiowęzeł, organizowanie akademii, imprez artystycznych, wykonywanie gazetek ściennych) znajduja się w gestii etatowego pracownika kulturalno-oświatowego, b. artysty Operetki Śląskiej. Jednak całością działalności kulturalnej kieruje komisja kulturalno - oświatowa składająca się z ośmiu osób. (Pełna nazwa komisji brzmi K. O. i Sportu. Nie nowego). W skład komisji wchodzą: członek prezydium rady zakładowej, przedstawiciel ZMS, etatowy pracownik k. o. i tzw. delegaci k. o. reprezentujący poszczególne działy produkcji.

Reporter zadaje pytania. Przedstawiciel rady zakładowej szeleści kartkami segregatora.

— Zaraz, zaraz... Fundusz zakładowy... Fundusz rady zakładowej... Nie, Święto Kobiet to nie z tego... Na wycieczki mamy 20 tysięcy złotych. Na...

Reporter widzi, że przedstawiciel rady zakładowej trochę się gubi. W takiej sytuacji i reporter z trudem może się zorientować w finansowych zawiłościach. Ostatecznie dowiaduje się, że na cele kulturalno-oświatowe przeznacza się z funduszu zakładowego 9 tysięcy złotych, z funduszu rady zakładowej — 33 tysiące złotych, ale ta suma figuruje w rubryce „na wypoczynek i turystykę". Jakieś 20 tysięcy złotych fundusz zakładowy przewiduje na wycieczki. Ale wycieczki do Firleja czy Puław pokrywano podobno z tamtych 33 tys. zł.

Później, w Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych, ktoś pokiwał głową.

— Tak, tak, proszę pana. To nielatwa sprawa. Oni to, wie pan, komasują i w ogóle...

Ale wracając do samej LFMR. Kiedyś jej chlubą były własne zespoły artystyczne: dramatyczny, żywego słowa, klub piosenki... O tych czasach wspomina się tu z lękzą w oku.

— Dziś młodzież inna. Woli siedzieć przy telewizorze. Kapitan Kloss, hrabia Monte Christo, Kobra i Teatr Sensacji stanowią groźną konkurencję dla działalności świetlicowej. A może potrzebne są inne formy pracy?

Ostatnio ZMS zorganizował Wieczorową Szkołę Aktywu. W jej ramach odbył się odczyt: „Młodzież a prawo". Potem wyświetlono film: „Piątka z ulicy Barskiej". Czy ten film mógł stanowić najlepszą ilustrację odczytu?

Inne odczyty też bywają. Najczęściej popularno-naukowe. Przeważnie w klubie prowadzonym przez SIMP. Obliczyliśmy wspólnie, że trzy razy w ciągu roku redaktor naczelny „Kuriera Lubelskiego" wygłasza pogadanki na temat sytuacji miedzynarodowej, a „dość często" odbywają się prelekcje o tematyce światopoglądowej.

Istnieje jeszcze kółko fotograficzne. Odbyła się wystawa malarska lubelskiego plastyka. Z funduszów związkowych zakupiono jeden z obrazów artysty.

Więcej już reporter nie zanotował.

Bogata „Grota"

WZSP — to instytucja potężna i bogata. Wnętrze klubu „Grota" zaprojektowane przez lubelskich plastyków pp. Wengorków, kosztowało nielicho, ale prezentuje się okazale i oryginalnie, niczym salon „Nautilusa" kapitana Nemo.

„Grota" jest klubem środowiskowym. Niezależnie od niego istnieją w Lublinie i w województwie kluby i świetlice spółdzielcze. Sama kultura jest w WZSP niejako zinstytucjonalizowana: Związek ma specjalnego pracownika, a więc i dział zajmujący się całokształtem zagadnień kulturalnych. Każdego roku na zakup telewizorów, książek, instrumentów muzycznych wydaje się 150 tysięcy złotych. *) Budżet klubu „Grota" przewiduje ponad 100 tys. zł rocznie na same wydatki kulturalne i administracyjne (nie wchodzą w to pensje, czynsz, światło itp.). W podobnej sytuacji finansowej co „Grota" jest pięć innych klubów WZSP rozsianych w województwie — Białej Podlaskiej (120 tys. zł, z tego 80 tys. na akcje k.o.), Biłgoraju (100 tys. zł), Lublinie — klub przy Spółdzielni im. H. Sawickiej (110 tys. zł), Chełmie (80 tys. zł) i Tarnogrodzie (70 tys. zł). Budżety świetlic WZSP wynoszą od 30 do 60 tys. zł.

Wróćmy jednak do „Groty". Pełni ona szereg funkcji. Jest lokalem reprezentacyjnym, w którym kierownictwo WZSP od czasu do czasu podejmuje swych gości. Jest w pewnym sensie kawiarnią. W określone dni udostępnia się salę ZM ZMS i harcerzom. Przynajmniej jednak pięć razy w tygodniu, po południu i wieczorem, „Grota" spełnia rolę „klubu kulturalno-rozrywkowego", jak głosi tabliczka nad wejściem.

Poziom intelektualny i... kulturalny bywalców — bardzo różny. Na pewno nie najwyższy.

Kierownik klubu podzielił działalność na trzy działy: kulturalny, rozrywkowy i gospodarczy. Podczas rozmowy demonstruje tekturową teczkę z wielokartkowym sprawozdaniem z pracy klubu w br. Na pierwszych stronach odnotowano wszystkie odbyte imprezy i imprezki: liczne wieczorki taneczne i turnieje warcabowo-szachowe (wieczorki uroz maicały występy lubelskich aktorów), akademie okolicznościowe i imprezy dla dzieci. Do działalności kulturalnej należy jeszcze zaliczyć występ kwintetu muzycznego Filharmonii.

W zakresie oświaty na pierwszym miejscu figuruje pozycja „czytelnictwo prasy" (należy zresztą na plus zapisać prenumeratę 21 czasopism), dalej — odczyty TWP oraz tzw. spotkania. W „Grocie" goszczono więc radnego MRN, odbył się wykład na temat prawa rodzinnego, były filmy instruktażowe „Filmosu", klub odwiedził aktor, trener bokserski, oficer, którzy dzielili się wspomnieniami.

Reporter wynotował także zdanie, z którego wynika, że „klub prowadzi również propagandę wizualną przez wydawanie gazetek ściennych".

Pora na wnioski

To już właściwie nie należy do reportera, którego zadaniem jest przedstawić fakty. Ale... czy na przykład wycieczkę autokarową do Puław można zaliczyć do działalności kulturalnej? Jeśli towarzyszy jej rozsądny przewodnik, który przy okazji oglądania np. świątyni Sybilli potrafi przytoczyć trochę faktów z historii tego miasta — na pewno tak. Lecz jeśli wszystko sprowadza się do odpoczynku nad Wisłą? Czy dopłacanie pewnej kwoty do biletów na „Popioły" jest „działalnością kulturalną"? Chyba tylko wówczas, gdy po obejrzeniu filmu zorganizuje się dyskusję na temat „Popiołów". O takiej dyskusji w Okręgowej Spółdzielni Mleczarskiej reporter nie słyszał.

W zakładach, które odwiedził, ani słowa nie powiedziano mu o spotkaniach z literatami, prelekcjach lub dyskusjach o współczesnej literaturze, współczesnym malarstwie, filmie. A okazuje się np. przy analizowaniu działalności k.o. w klubie „Grota", że pieniądze na prelekcje nie są problemem.

Gazetki ścienne i tzw. propaganda wizualna to... fragment, dziś już nie tak bardzo istotny, pracy kulturalno - oświatowej. Jeśli telewizja budzi powszechne zainteresowanie, warto pokusić się o zbiorowe oglądanie poszczególnych spektakli teatralnych i później zorganizowanie dyskusji na temat danej sztuki z udziałem recenzenta teatralnego (sąsiedzi w Lublinie) czy też któregoś z aktorów Teatru im. J. Osterwy.

I sprawa najważniejsza: nowe warunki pracy, nowe wymagania stawiane wobec klubów, świetlic uwypuklają role etatowych pracowników kulturalno-oświatowych i różnych społecznych komisji. Tu nie można stać w miejscu, nie można zrutynieć. Rutyna jest największym wrogiem tego, co zwykliśmy nazywać działalnością kulturalno-oświatową.

Dla kierowników klubów, świetlic trzeba organizować, chociaż krótkie, ale efektywne szkolenia. Jak dotychczas, za państwowe czy spółdzielcze pieniądze „każdy sobie rzepkę skrobie".

Mirosław Derecki

***) Wszystkie liczby w artykule są podane w przybliżeniu.**

KAPITAN KLOSS
i worek ze złotówkami

ANDRZEJ WOZNIESIENSKI

Wesele

Wychodzi za mąż młodość,
Za kogo? — Za co raczej?
To siebie grzebie młodość
Za najmodniejszy płaszczyk.

Za szczerozłota kruszec,
Za srebro, co skroń plami,
Ach, porcelanę tłuczcie
I depczcie ją butami!

Gdzie się pije, tam się bije —
Szklanki się, kieliszki bije
Na skorupki — o podłogę
Państwu młodym popod nogi.
Drży pod nimi kryształ drogi:
Czyjeś szczęście
Lśni jak ogień!

I ty także — w muślinach,
Młoda, niewesoła,
Drżysz jak kieliszek wina
Na krajuszku stołu.

Na wargach uśmiech blady
Szczelinką się otwiera
I mokre ciemne ślady
Na twarzy widać teraz.

Gdzie się pije, tam się leje —
Łzy się gorzkie, łzy się leje...

Przełożył
K. A. Jaworski

ANDRAS MEZEI

Tracąc wzrok

Ciemno się robi, przyjaciele...

Znam swoją drogę,
idąc do domu
nie przymykam oczu,
niech ludzie wiedzą,
że nie tkwię w pomroce.

Ciemno się robi, przyjaciele,
a droga bez kresu —
nie wolno zboczyć!

Na tyłach wozów
czerwone ślepia
olśniewające
majaki czerni
(znaki sumienia?)
wokół wielkiego placu
mkną wirując...

Z drogi, przyjaciele,
nie wolno zboczyć!

Białą laską
nie stukam jeszcze.

Otwartoocy —
patrzcie: z otwartym okiem
jestem ślepcem.

Obraz zewnętrzny, zanim
zblednie,
blaskiem wnętrza
w migotach się pali.
Człowiek nie upada
dogłębnie.
Znam swoją drogę,
więc idę dalej.

Z węgierskiego przełożył
Tadeusz Fangrat

Maria Wrocka

Po 26 latach

PAŁAC CÓR MNEMOSYNE

Z GMACHEM Teatru Wielkiego w Warszawie łączy mnie wiele wspomnień z września 1939 r. i okresu okupacji. Ostatnie dni wrześniowe spędziłam w schronie pod teatrem, w obszernych podziemiach, ciągnących się aż do piwnic przeciwległego ratusza. Potężne sklepienia i olbrzymi wentylator elektryczny, zagłuszający detonacje, stwarzały pozór bezpieczeństwa. Dwudziestego trzeciego to złudzenie prysło. Około północy nad sklepieniem rozległ się huk głośniejszy od wszystkich poprzednich i zrobiło się ciemno. Dyżurni z ochrony gmachu kazali nam wychodzić. Kiedy otwarto drzwi na podwórze, ujrzeliśmy przed sobą gigantyczną zasłonę ogniową. Nie było czasu na wahanie, błyskawicznie przemknęliśmy wąskim tunelem między murem a płomieniami — do sieni, która prowadziła na zewnątrz budynku. Jeszcze krótki bieg przy blaszanym łoskocie dachów, wzdłuż kolumnady oświetlonej pożarem, i znaleźliśmy się w najbliższej bramie na Focha... Dopiero rano, gdy nastąpiła przerwa w bombardowaniu, można było poszukać lepszego schronienia.

Okazało się jednak, że wnętrze lewego skrzydła nie było wypalone. Tu mieściła się na półpiętrze Biblioteka Operowa, której mój mąż był dyrektorem. W czasie okupacji otrzymała ona miano Miejskiej Biblioteki Muzycznej i jako placówka municypalna nie uległa zamknięciu.

Biblioteka była miejscem stosunkowo zacisznym, jakby poza polem widzenia gestapo, zjawiali się tu niekiedy tylko przedstawiciele Wehrmachtu, aby pożyczyć nuty na jakieś swoje koncerty. Najczęściej odwiedzali bibliotekę nasi instrumentaliści i śpiewacy zarabiający na chleb występami w kawiarniach. Przesiadywałam godzinami w niskich komnatach, gdzie stale paliło się światło, bo dawały go za mało okienka schowane pod filarami.

Do tego lokalu mąż mój przeniósł dla „bezpieczeństwa" swoje własne zbiory muzyczne, które mieściły się prowizorycznie w podziemiach kina miejskiego na Hipotecznej.

Znany zbieracz materiałów szopenowskich, B. E. Sydow, pisał w 1945 r. w „Odrodzeniu" (nr 16 — „Chopiniana wojenne"): *„Krocząc szlakiem zniszczenia spełnionego już bez reszty po powstaniu warszawskim — poprzez stolicę, na Placu Teatralnym widzimy wypalone lewe skrzydło Teatru Wielkiego, gdzie mieściła się, obok Miejskiej Biblioteki Teatralnej, od 1942 r. biblioteka muzyczna — prócz ikonografii — Edwarda Wrockiego, największy zbiór tego rodzaju w Polsce. Z biblioteką tą wielka ilość bezcennych materiałów szopenowskich zginęła bezpowrotnie..."*

Tak porwały się więzy, które łączyły z gmachem Teatru Wielkiego w Warszawie mnie i mego męża, dziś już nieżyjącego.

*

Po wyzwoleniu, odwiedzając tak często, jak się dało, moje rodzinne miasto, Warszawę, mogłam tylko z odległości, spoza parkanów, podglądać odbudowę i rozbudowę Teatru Wielkiego. Śledziłam też pilnie w prasie wiadomości o postępie, kierunkach i rozmiarze robót. Ale jedno jest d o w i e d z i e ć się, a co innego w i d z i e ć. Ktokolwiek by zechciał obejść dokoła Teatr Wielki po usunięciu ostatnich rusztowań i płotów — będzie, mimo przygotowania informacyjnego, wręcz zaskoczony ogromem tego, rzec można, kombinatu pomieszczeń, jaki powstał na bazie gmachu zaprojektowanego przed stu czterdziestu laty przez Antoniego Corazziego. Pozostała bez zmiany właściwie tylko miła od dawna oczom warszawiaków fasada z jej przepyszną kolumnadą, na której dostrzega się ślady kul z 1939 i 1944 roku. Reszta jest dziełem dostosowanym do potrzeb użytkowych ogólnopolskiej placówki artystycznej, reprezentacyjnej dla kultury nowoczesnego państwa. Ta nowa postać Teatru Wielkiego pozostanie na zawsze związana z nazwiskiem znakomitego architekta, prof. T. Pniewskiego, zmarłego przed kilku tygodniami.

8 października br. znalazłam się po latach znowu we wnętrzach TW. Tym razem w charakterze delegatki redakcyjnej na konferencję prasową związaną z listopadowymi dniami inauguracyjnymi. Po wzorowo zorganizowanej konferencji, której przewodniczył Zdzisław Śliwiński, naczelny dyrektor Teatru Wielkiego i Filharmonii Narodowej (kilka miesięcy temu nastąpiła fuzja personalna tych instytucji), pokazano gigantyczny gmach grupie chętnych dziennikarzy od wewnątrz. Rzecz prosta bardzo fragmentarycznie, bo przecież długość samych korytarzy na jednym tylko piętrze wyraża się w kilometrach. Dzięki jednak oprowadzającemu nas zastępcy dyrektora do spraw technicznych, mgr S. Zacharze, który z równą cierpliwością odpowiadał na pytania rzeczowe i całkiem laickie, można było wyrobić sobie jakie takie pojęcie o całości. A więc przede wszystkim ta już *a priori* słynna widownia na ok. 2000 miejsc. Zabawne, że gdy się stoi przy rampie, wcale nie ma się wrażenia ekstrawielkiej przestrzeni. Trzeba dopiero spojrzeć przynajmniej z balkonu I piętra. Przy sposobności znowu pogadano o akustyce, o którą Warszawa, a za nią cały kraj od lat się przedwcześnie niepokoi. Podczas konferencji dyr. Śliwiński musiał wyjaśniać, że na dobrą czy złą akustykę składa się taka mnogość czynników, że przy najlepszym zaprojektowaniu widowni występują częstokroć niespodzianki. Cytował niepocieszające przykłady ze światowych metropolii. Nie mamy jednak danych, by przypuszczać, iż akustyka widowni TW „pójdzie" w ich ślady. Tak czy owak bezpodstawne są plotki, jakoby w tej ogromnej sali wypadło „podpierać" głos śpiewaka megafonem.

Poczucie ogromu ogarnia zwiedzającego zwłaszcza na scenie i na jej zapleczu. Żeby się dostać na deski sceniczne, musimy niemal przebiec kilusem parę korytarzy po 140 m, i teraz ta giebla sceny, jej wysokość, ta jej zapadnia, z której wynurza się właśnie zamek do „Pana Twardowskiego"! Całe techniczne wyposażenie, które laik ogląda z otwartymi ustami! Potem (czy przedtem — już nie pamiętam) zaglądamy do eleganckich garderób, których jest bez liku, do hallów i kuluarów, suto ozdobionych (może gdzieniegdzie nawet za suto — budowę rozpoczęto w r. 1930)... I tak dalej, i tak dalej. Amerykanin czy Niemiec zażądałby ode mnie dokładnych liczb kubatury, nie mam ich w materiałach otrzymanych na konferencji, bo o inne sprawy chodziło. Dodam tylko, że specjalnie frapującym momentem naszej parogodzinnej wędrówki po gmachu TW było zwiedzenie kabiny elektryków, która zachwyca nieprzebranym bogactwem szczegółów, kolorowych guziczków zaopatrzonych w numerki. Taki główny elektryk właściwie dyryguje sui generis małą orkiestrą według istnej partytury świetlnej już nie notowanej ręcznie na chybcika lecz zapisywanej przez maszynę z niesłychaną precyzją.... Naciśnięto dla nas przykładowo odpowiednie guziki i światła reflektorów przesunęły się po scenie ożywiając dekorację „Pana Twardowskiego" przygotowaną na wieczorowe przedstawienie („avant la lettre"!) dla uczestników międzynarodowego kongresu związków zawodowych. Dawało to cudowny przedsmak uroczystości otwarcia.

*

ALE wróćmy do konferencji prasowej. Właściwie główne jej tematy obiegły już prasę codzienną. Wypadnie jednak coś niecoś powtórzyć. A więc pozą czterema premierami inauguracyjnymi plany repertuarowe przewidują jeszcze na rok bieżący „Don Carlosa" Verdiego, wieczór Igora Strawińskiego („Król Edyp", „Orfeusz", „Święto wiosny") i „Jezioro Łabędzie" Czajkowskiego. Po przedyskutowaniu z Radą Programową przy Ministerstwie Kultury i Sztuki, w której skład wchodzą wybitni przedstawiciele świata artystycznego, ustalono już repertuar na cały rok 1966. Podaję to „menu" teatralne, które powinno trafić do przekonania rozsądnych i najbardziej wymagających melomanów: „Faust" Gounoda, „Flet czarodziejski" Mozarta, Verdiego „Aida" następnie „Fedra" Aurica, „Jutro" Bairda i „Cudowny mandaryn" Beli Bartoka, potem „Eugeniusz Oniegin" Czajkowskiego, potem — „Wariacje na temat Purcella" Brittena, „Symfonia klasyczna" Prokofiewa i „Symfonia fantastyczna" Berlioza, wreszcie „Harnasie" Karola Szymanowskiego.

Słowem muzyka „trudniejsza" i „łatwiejsza" jest tu, wydaje się, należycie wyważona. Chciałoby się może usłyszeć już w niedalekiej przyszłości też i „Borysa Godunowa" Musorgskiego i „Księcia Igora" Borodina, i fantastyczną operę Rimskiego-Korsakowa „Sadko", ale nie można oczekiwać za dużo na raz. Dyr. Z. Śliwiński i inni członkowie kierownictwa TW: naczelny dyrektor muzyczny teatru i Filharmonii Narodowej (oraz, oczywiście, dyrygent) Witold Rowicki, z-ca dyrektora muzycznego TW i dyrygent Zdzisław Górzyński, dyrygenci: Mieczysław Mierzejewski i Jerzy Semkow, kierownik wokalny Seriusz Nadgryzowski, kierownik chóru Józef Bok, baletu — Walery Szajewski, główny scenograf J. M. Szancer, kierownik literacki Z. Krawczykowski — ten wysoce odpowiedzialny sztab artystyczny chce osiągnąć w ciągu pięciu lat czterdzieści pozycji repertuarowych, a trzeba wziąć pod uwagę, że pozycje realizowane już przy Nowogrodzkiej nie są bynajmniej „gotowe" (zwłaszcza scenograficznie) do przeniesienia na przestronną scenę TW.

Działalność Teatru Wielkiego będzie miała nieznany dotąd rozmach. Przewiduje się rozległe kontakty z zagranicą — (wymiana artystów i całych spektakli, przyjazdy widzów z obcych krajów. Ma się rozumieć i z najodleglejszych krańców Polski będą przyjeżdżać ludzie pociągami, autokarami, ba — specjalnymi samolotami na „week-endy" (przyjdzie tu z pomocą „Orbis").

Dużo by jeszcze trzeba powiedzieć o najbliższej przyszłości artystycznej Teatru Wielkiego, ale zaczekajmy do uroczystego otwarcia, na którym będzie reprezentowana sceniczna muzyka polska „Straszny dworem" i „Halką" Moniuszki (20.XI i 21.XI), „Panem Twardowskim" Ludomira Różyckiego (22.XI) i „Królem Rogerem" Karola Szymanowskiego (23.XI). Piękny to akcent w obchodzie 200-lecia polskiej sceny narodowej.

Pozwolę sobie zakończyć tę relację małym momentem uczuciowym. Parę dni temu udało mi się zajrzeć do skromnej na razie biblioteki TW, na VI piętrze gmachu. Stamtąd zawiłą drogą dostałam się na półpiętro lewego skrzydła, gdzie do 1 sierpnia 1944 r. znajdowała się Miejska Biblioteka Muzyczna, o której mowa na wstępie. Teraz ulokowało się na części jej obszaru Muzeum teatru. Stąd przez jedno z okienek pod filarami mogłam rzucić spojrzenie na Plac Teatralny, gdzie widziałam naocznie różne epizody dramatycznego przebiegu historii...

MICHEL DEGUY

Wiersze

Michel Deguy jest młodym, trzydziestoczteroletnim poetą francuskim. Wykłada filozofię w jednym z paryskich liceów. Wydał dotychczas trzy tomiki poezji, wszystkie w wydawnictwie „Gallimard". Jest laureatem Prix Fénéon i Prix Max Jacob. Drukowane w „Kamenie" wiersze pochodzą z ostatniego tomu pt. „Biefs".

*

* *

Na ziemi powolnej zapadaniu
Cień pokłada się ręce w przód

Odrętwienie na kwietniku anemonów
I niezgoda dzieci w rondzie owadów

I myśl jak piorunochron w miejscu
zniechęconym do burz

*

* *

Nad bezwodnymi fossami miasta Provins
cysterny niebios niewyczerpane
Ochronne wały sokolników powstrzymują ptaki

Cmentarz zwrócony w stronę Francji jak prześcieradło
na łagodnym schnące stoku
Największy z ogrodów bez inskrypcji pod cedrowym drzewem
Tutaj anonimowe krzyże sióstr...
O, dniu sentencjonalny!

*

* *

Jednak ukradkowa łaska i jak się uniewinnić?
Wiatr lekki niebo blade skąd oddech zdawał się iść Otóż usiadłem z czułością z jaką klęka się
przyjmując na nowo dar
U stóp katedry organowy poranek
na planszy nieba zorza mineralna
skarpa skąd niebo mogło dmuchać z góry
w dół nie jak ofiarodawca

*

* *

Zapach jabłek u morza wrót
Powieka piasku spuszczona w odpływ
Było to w czasie koloru liści

Ćma wizji naprzeciw oczu
utrzymują się tam długo plamy miejsc

wiatry przeszły były jak pędzone na pastwiska
Poeci mieli widzenia

Przełożył
Edward Stachura

„Prom" – grupa literacka Siedlec

ANDRZEJ CEZARY SAWCZENKO

Z cyklu „ROMANTYCY"

*

* *

patrzą w gwiazdy
chociaż ich oczy są ślepe
piją szczęście
chociaż jest gorzkie jak łzy
kochają
a brak im serc
płaczą
choć usta wykrzywia im uśmiech
żyją
chociaż są martwi

*

* *

może jesteś zwykłą dziewczyną
jakich codziennie widzę tysiące
może mówisz całkiem zwyczajnie
masz zwykłe oczy
usta
włosy
nie wiem
widzę w tobie cząstkę mojego świata
moje marzenia naiwne
może jesteś jak innych tysiące
a jednak to tylko ty

WIESŁAW WARECKI

Tulipan za złoty

Kto kupi kwiat wiosny
tulipan za złoty.
Kupi chłopiec, da
swojej dziewczynie, dziewczyna
pieści płatki. Płatki —
usta dziewczyny wywijają
się w słońcu, oddechu.
W patykach palców więdnie kwiat —
tulipan za złoty.

Pochodne

Jest tylko jeden rytm
Pulsującej krwi
reszta to pochodna pochodnych
duplikat uśmiechu
przewyższa oryginał staje się
narzędziem pracy, naiwna reklama
mój cień związany
z twoim cieniem
sili się na rzeczywistość
nędzny fałsz
przepełnionych

„Kobieta" — rzeźba Grażyny Romar Dobrowolskiej.

„Skrzypce" — rzeźba (brunatny marmur) Kazimierza Żywuszki. (Zdjęcia autora)

IRENEUSZ SZUKALSKI

Brandt i rok 1965

Oddalone o 16 km od Radomia Orońsko w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia stało się letnią siedzibą głośnego już wówczas malarza Józefa Brandta, który w Monachium rozpoczął wieloletnią działalność pedagogiczną. Brandt, jako pedagog, skupiał w Monachium wokół siebie głównie młodzież stanowiącą część licznej tam kolonii polskiej. Tak więc, w różnym zresztą czasie, byli przy Brandcie tacy młodzi malarze jak: Ajdukiewicz, Chełmoński, Kędzierski, Wojciech Kossak, Łoś, Mroczkowski, Piechowski, Rosen, Wierusz-Kowalski, Wolski, Szerner i wielu innych.

Ta garść rzuconych telegraficznie informacji ma przypomnieć Brandta (urodzonego 11 lutego 1841 r. w Szczebrzeszynie w Lubelskiem) i Orońsko — stanowiące niegdyś interesującą galerię sztuki — dlatego, że obecnie park w Orońsku stał się miejscem ciekawej ogólnopolskiej wystawy rzeźby plenerowej. Wystawy zorganizowanej z inicjatywy Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zarządu Głównego Związku Polskich Artystów Plastyków i Cenralnej Rady Związków Zawodowych.

Jak zrodził się sam pomysł ekspozycji i skąd nagle ponad 20 dużych rzeźb z trudnego i rzadko dziś używanego tworzywa, jakim są marmur, wapień i piaskowiec?

Otóż wiosną br. z inicjatywy ZPAP i CRZZ powstał projekt, by w sierpniu — wrześniu wyjechali w teren artyści rzeźbiarze z całej Polski i by razem zgrupowani mogli pracować twórczo. Szczęśliwie chyba jako teren tej pracy wybrano Kielecczyznę, bo tu znalazły się wszystkie czynniki, które mogły pomóc artystom w ich trudnej pracy.

Projekt życzliwie przyjęły zarówno Wojewódzka Komisja Zw. Zawodowych, jak i Wydział Kultury Prez. WRN oraz środowiska plastyków Kielecczyzny. Od projektu do czynu droga jednak nigdy nie jest zbyt łatwa. Tak było i teraz. Wiele kłopotów trzeba było pokonać, by ostatecznie z wydatną pomocą kamieniołomów w Szewcach, Bolechowicach, Szydłowcu i Pińczowie, podległych Kieleckim Zakładom Kamienia Budowlanego, które dały bezpłatnie narzędzia i kamień, pozwoliły go sobie wybrać oraz zapewniły pomoc mechaniczną w jego wydobyciu i przy wstępnej obróbce, plastycy mogli przystąpić do ostatecznej pracy — nadania kamieniom artystycznych kształtów.

Sześć tygodni pracowali rzeźbiarze nad kamiennymi bryłami. A wcale nie byli to jacyś mało znani twórcy, niejeden spośród nich na koncie swego dorobku artystycznego ma poważne osiągnięcia w postaci nagród na wystawach, tak krajowych, jak i zagranicznych. Krótko mówiąc — czołówka polskich rzeźbiarzy. A w skali europejskiej wcale w tej dziedzinie sztuki nie jesteśmy kopciuszkami...

Oglądając eksponowane obecnie w Orońsku prace, trzeba stwierdzić, że współpraca przemysłu kamienia budowlanego z artystami dała tym razem pożądane efekty, bowiem w jej wyniku nie tylko wyzwolono inicjatywę twórczą artystów plastyków, ale ci ostatni pokazali, że całkowicie panują nad nowoczesnością form stosowanych obecnie w sztuce, mimo trudnego przecież i rzadko stosowanego ostatnio tworzywa i — powiedzmy to sobie szczerze — krótkiego okresu samego sympozjum. Dlatego warto wymienić kilka nazwisk samych twórców reprezentowanych na wystawie, których prace szczególnie zwróciły na siebie uwagę. Są to: Paweł Bindera, Daniela Bożekowska Teresa Brzóskiewicz, Władysław Frycz, Zofia Pacilowska, Grażyna Roman-Dobrowolska i Kazimierz Żywuszko.

Sama inicjatywa sympozjum wydaje się jak najbardziej słuszna. Zresztą b. ciekawe są także plany na przyszłość. Po pierwsze — imprezy tego typu mają być organizowane w Kielecczyźnie co roku, a z czasem może nawet przybiorą one charakter międzynarodowy, bowiem organizatorzy noszą się z zamiarem zaproszenia na nie również twórców z zagranicy. Po drugie — wystawa plenerowa w Orońsku przekształciłaby się w ekspozycję wzbogacającą się co roku o nowe rzeźby. Tak więc Orońsko ma szansę powrócić do dawnej świetności artystycznej i stać się stałym przybytkiem dla samych artystów, a także koneserów i miłośników rzeźby.

Warto jednak, by organizatorzy pomyśleli na przyszłość przynajmniej o jakimś powierzchownym uporządkowaniu parku, w którym rozmieszczono prace artystów.

WIESŁAW KULIKOWSKI

Przejazdem w Wielowsi

MALEŃKI budynek przystanku kolejowego obejmują ze wszystkich stron pola. Do wsi ciągnie się wąziutka wyboista droga, oplątana gwizdem parowozu.

Zdyszany pociąg pozostawił tylko smugę dymu — i ziemia wydaje się tu być tak znajoma aż czuła! Kobiety z motykami wracają z pól. Siadają na zielonej murawie i cisza wisi w powietrzu taka, że słychać słowa:

„Pola, pola.
Rzeczka przemieniona w postój złotych
drzew.
Nucą chaty niebu o zadumie pieśń.
Mgły nad łąką, z dali paryk krów płynie.
Powracają kobiety od kopania,
ich czar pod jaki blask obłoków wznieść?
Na włosach róże czerwonego dymu,
w oczach rząd zastygłych nad potokiem
wierzb.
Ziemio, czy to ty wołasz?"
(„PO CHOROBIE")

Tu naprawdę wszystko jest takie znajome... Na tle nieba widać rozrzucony jak złote ziemniaczane badyle — Sandomierz.

Słońce wydaje się być tak nisko, że można go dotknąć ręką i pogładzić. I trawy, pożółkłe już — wydaje się — zaczynają mówić i lecieć. A ziemia jest wciąż taka, jakby przed chwilą jeszcze przytulona była mocno do serca. Płynie...

Przy lśniącej słońcem szosie budynek Gromadzkiej Rady Narodowej. Domy szare, skromne; słychać żałosne skomlenie psa. W ogródkach tu i ówdzie georginie, astry, goździki. Pytam napotkanych po drodze dzieci, czy słyszały coś o Stanisławie Piętaku? Oczywiście. Tłumaczą mi, w jaki sposób można dojść do miejsca, w którym stał dom rodzinny poety. Trzeba iść prosto drogą, później skręcić blisko takiej sadzawki, a później pan zapyta się... A mnie się zdaje, że ja to miejsce wyczuję, że zaprowadzi mnie na nie wiersz:

„Kto pierwszy nazwał cię domem
ukochanym?
W czyich oczach po raz pierwszy rozbiłeś
namiot snu.
Wróble, gołębie i jaskółki dziwiły się twej
lekkości
i z dymem żywicznym igrając
pod oknem strzechy, w załomie komina
wiły swoje gniazda".
(„DACH")

Przy każdym nowym domu przystaję. Czy to tutaj? Czy to tutaj ziemia jest najczulsza, mówią niespokojne trawy i wychodzą ze siebie drzewa?

I wreszcie odnajduję to miejsce — pokazuje mi je kobieta stojąca w drzwiach jednego z domów. Ten stary dom, w którym urodził się poeta — powiada — rozebrali już dość dawno. A w nowym mieszka siostra Stanisława Piętaka — Zarowa. Ale nie ma jej w domu, poszła kopać...

„Otwieram furtkę, ale oto w domu nie ma
nikogo,
ani rodziny, ani zwierząt, ani ptaków.
Biegnę — w innych domach to samo...
Nie ma, nie ma życia!..."
(„CIEMNOŚĆ")

Przy domu krząta się tylko mały chłopczyk. Jest już uczniem IV klasy i dobrze pamięta wujka. Przyjeżdżał tu wujek latem, a czasem na niedzielę.

Chłopczyk jest onieśmielony trochę, mówi mało — i kiedy tak idziemy razem drogą, wydaje mi się przez chwilę, że idzie koło mnie 11-letni, mały Stanisław.

Ten Stanisław, który tak zachłysnął się rodzinną przyrodą, że nie potrafił żyć. I widzę znów przed sobą to wszystko, co przedstawił w swoich wierszach.

„... A krzaki ziemniaków wieją kwiatem
liliowym
i tworzą korytarz ciemnozłoty, przez który
przejść już trudno. Motyl śpi, kotek muchy
łowi,
ślepia grzeją, zanurzone w piach, siwe kury".
(„MÓJ KĄT MAŁY")

Na drogę wybiegło stado gęsi i... płynęły jak obłoki. Jadący furmanką gospodarz zaklął głośno. Gdzieś zaskrzypiały drzwi i zadźwięczały wiadra.

Opadły dwa złote liście z drzewa, które na chwilę podniósł wiatr, choć wydawały się być ciężkie jak kamienie.

— Była tu niedawno taka pani poetka z ciocią z Warszawy — mówi chłopiec. — Przysłała mi później książkę. We wsi będzie się budować nową szkołę, która będzie nosiła imię wujka. A teraz my uczymy się na zmiany. Ja chodzę po południu — i już muszę iść do domu.

Żegnam chłopca i przyjazne maleńkie okienka domów. Przechodzę szosę, na której właśnie stoi autobus do Sandomierza. I znów wychodzą mi naprzeciw puste pola — ścierniska, kartofliska... Idę w stronę przystanku kolejowego i znów:

„... Skrzydła jaskółek i ręce chłopów
rozdzierają powietrze,
a to, co jeszcze się przypomina,
nie niesie już dźwięku ni koloru,
odbiera mowę...".

(* * *)

A kiedy już jestem w wagonie i jeszcze raz rzucam swoje spojrzenie na Wielowieś, słyszę w głośnym stukocie kół pociągu wzruszające i coraz bardziej cichnące echa wiersza „Na pożegnanie wsi rodzinnej".

„Ja bałwochwalczo wielbiłem skrawki
rodzinne,
nawet upór, bagno, krzak lichy
na ojcowskim działe.
Sady żyzne, domy z cegły, że były innych,
nie dusiły mnie tak nadzieją, szczęściem,
żalem,
jak mech na naszej strzesze, szum
drewnianej studni".

(Dokończenie na str. 7)

poważny wpływ na określenie dobrego sensu lokalnego patriotyzmu. Ale to tylko jeden kierunek aktywności ZDK. Co się robi na miejscu?

Dom Kultury jest własnością „Pronitu", lecz korzystają z niego wszyscy mieszkańcy Pionek, tutaj odbywają się posiedzenia Komitetu Partii i Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Kilkanaście dni temu w niewielkiej, liczącej około 300 miejsc sali zjawił się także Szczepanik, którego płyty stąd właśnie rozchodzą się po kraju. Podobnie wypełniona sala przywiekiejś liczby, konkretnego znaku prosperity materialnej, można natomiast umieścić tam tysiące ludzi przewijających się co miesiąc przez jego czytelnie, klub, salę imprez estradowych, oraz tych 300 młodych, którzy w pracowniach ZDK uczą się mówienia poezji i o poezji, układania barw i form na papierze, odnajdują zaskakujące emocje w amatorskim teatrze dramatycznym i kukiełkowym, w gambicie hetmańskim i paradoksach matematycznych, poznają niespodzianki konstrukcji szybowcowych i układu koła kwintowego — czyli uzupełniają swój świat, notują w pamięci wzorce postępowania.

Pionki kulturalne

tała inż. Kucharskiego na „Wieczorze pytań i odpowiedzi", dotyczącym sytuacji w NRD, gdzie inżynier przebywał przez trzy lata. Równym powodzeniem cieszą się wszelkie imprezy organizowane przez klub ZMS „Promoncik" egzystujący przy ZDK. Natomiast koncerty Filharmonii Warszawskiej dla młodzieży szkolnej odbywają się w atmosferze zupełnie wyjątkowej w skali krajowej: prawdziwego zainteresowania i szacunku dla wykonawców, co spowodowało, że miejscowi działacze pragną założyć Towarzystwo Muzyczne.

Tłumy ludzi na imprezach w Domu Kultury, tłumy, które każdorazowo odchodzą z kwitkiem, ponieważ nie mogą zmieścić się wewnątrz, to wystarczające potwierdzenie rozbudzonego głodu kultury, którego, powiedzmy w końcu i o tym, nie można w pełni zaspokoić ze względu na ciasnotę lokalową. Stąd oczywisty wniosek przemawiający za potrzebą rozszerzenia bazy materialnej koniecznej dla dalszego rozwoju kultury w Pionkach, mieście kilkunastu tysięcy ludzi, trzech zakładów przemysłowych, kilku szkół i... jednego kina, jednej kawiarni! Prawda, utrzymanie samego ZDK kosztuje milion zł rocznie, budżet zamyka się sumą 350 tys. a dodatkowe inwestycje, jak 250 tys. na zakup nowych instrumentów muzycznych, jeszcze podwyższają ogólną sumę wydatków Rady Zakładowej i dyrekcji, bo tylko one finansują ZDK. A korzystają wszyscy, czasami tylko partycypując w kosztach utrzymania np. sekcji rytmiki (PSS, Montoerg). Wiadomo przy tym, że Dom Kultury w Pionkach kosztuje, ale i się opłaca. Nie można jednak po stronie „ma" postawić ja-

Ten Dom pracuje niezwykle dynamicznie i dzięki temu wyróżnia Pionki z rzędu podobnych miasteczek. Ten Dom pracuje w niewystarczającym już dzisiaj pomieszczeniu i w dość trudnym środowisku młodzieżowym. Niedawno rozbito gablotę przed wejściem, z prawdziwą pasją wyszarpano tablicę i podarto ogłoszenia. Może zrobili to ci, których niejednokrotnie trzeba było wyprosić z dancingów zetemesowskich, bo pijani wszczynali awantury? A może ci, którzy nie dostali biletów na imprezę i w knajpie szukali ukojenia?

Warto też wspomnieć, że Dom Kultury w Pionkach nastawiony głównie na pracę z młodzieżą, kierowany jest przez młodych: kierownik Justyn Sułkowski i jego zastępca Jerzy Lechowicz mają raptem po 27 lat i kończą właśnie średnią szkołę muzyczną w Radomiu. Obaj muzycy i może dlatego taką estymą otaczane są tu wszelkie zespoły muzyczne, z których najmłodsze, to „Combi" (kombinacja: harcerze grają, PSS finansuje, Lechowicz uczy) oraz „Klopsik" prowadzony przez Sułkowskiego, jednoczesnego szefa głównego zespołu. Wśród pozostałych instruktorów i wykładowców tylko nieliczni przekroczyli trzydziestkę.

Swoje rendez-vous z kulturą w Pionkach zakończyłem rozmową z sekretarzem propagandy KZ PZPR J. Przegrodą, przewodniczącym Zarządu Zakładowego ZMS T. Surgą i instruktorem do spraw propagandy, wiceprzewodniczącym ZZ ZMS, Z. Poterem. Wszyscy potwierdzili moją dobrą opinię o pracy ZDK, podobnie, jak zgodzili się z koniecznością zwiększenia bazy lokalowej.

Ireneusz J. Kamiński

FRANCISZEK WITOWICKI

Cmentarz przy Lipowej

KULT zmarłych to stary, odwieczny obyczaj naszych przodków. Ślady tego kultu odnajdujemy ciągle w zabytkach wykopaliskowych, w sztuce, w literaturze, w zachowanym obyczaju. Mickiewiczowskie „Dziady" to przecież wspaniały dowód tego obyczaju.

W związku ze Świętem Zmarłych warto kilka słów poświęcić cmentarzowi lubelskiemu. Istnieje on ponad 150 lat; najdawniejsze ślady sięgają 1800 roku. Wielka arteria komunikacyjna, obecna ul. Lipowa, nosiła wówczas nazwę ul. Cmentarnej, była zamykana na łańcuchy. Ulicę otwierano tylko dla konduktów pogrzebowych.

Dziś na cmentarzu spoczywa ponad 120 tysięcy zmarłych — niemal drugie miasto.

Punktem centralnym cmentarza jest skromna tablica cmentarna z płytą pamiątkową doktora medycyny, Józefa Sztejna, wielkiego filantropa i dobroczyńcy (zmarł 15 lutego 1830 r.), którego mogiła zaginęła bez śladu. Tylko ta tablica oddaje hołd pamięci szlachetnego człowieka.

Niedaleko od głównej bramy, po lewej stronie — skromny obelisk z lat 1840—1880 lubelskiej rodziny Minzlów przypomina nam, że jeden z nich („kupiec i obywatel") został uwieczniony w literaturze mistrzowskim piórem Bolesława Prusa („Lalka").

Przy „Lipowej" spoczywa też — nieopodal kaplicy cmentarnej — wybitny pisarz Klemens Junosza Szaniawski, lublinianin, wcześnie zmarły na gruźlicę w Otwocku (22 marca 1898 r.).

Na cmentarzu lubelskim znajdują się groby wielu ludzi zasłużonych dla ojczyzny i miasta. Na nagrobkach z XIX stulecia tylko niekiedy znajdujemy jakże wymowny napis: *„oficer byłych wojsk polskich"* lub określenie sprawowanych funkcji społecznych; rządy carskie nie pozwalały na przekazywanie potomnym w taki sposób pamięci o zasłużonych.

Już za naszych czasów godnie uczczono pomnikiem fundacji Stronnictwa Ludowego wielkiego działacza społecznego, powstańca z 1863 r., księdza Piotra Ściegiennego.

„Miasto umarłych" liczy tysiące mogił, nie można jednak powiedzieć, aby nagrobki odznaczały się szczególną wartością artystyczną. Wiek XIX i początek XX w. cechowała dziwna banalność obok nieraz monumentalnego, mieszczańskiego stylu. Niestety, miał on w sobie coś zaraźliwego, bo udzielał się powszechnie, zapełniając cmentarz bryłami czarnych granitów, kosztownymi, ale pozbawionymi piękna artystycznego, umiaru i smaku. Dopiero w ostatnich latach zjawiło się parę nagrobków, które reprezentują wysoką klasę sztuki architektoniczno-rzeźbiarskiej.

Przy alei wiodącej w stronę kaplicy, zwraca uwagę dzieło znakomitego krakowskiego architekta i artysty malarza, Tadeusza Wojciechowskiego: rzadka dziś klasycystyczna kolumna z szydłowieckiego kamienia, złamana u szczytu, stojąca na parustopniowym cokole, o który ukośnie wsparta jest tarcza z szwedzkiego granitu z napisem *Spoczywa tu Halina Szwarcenberg Czerny, zmarła w 1962 r.* Całość w każdym szczególe tchnie powagą i prostotą. Dużą wartość artystyczną ma też nagrobek Edwarda Wrockiego, muzykologa i bibliofila.

Cmentarz lubelski stanowi obiekt zabytkowy i jako taki wymaga specjalnego traktowania. Moim zdaniem należałoby go poddać szczególnej opiece władz konserwatorsko-zabytkowych. Przede wszystkim apeluję, aby ustalić najdawniejsze grobowce i uznać je za zabytki historyczne. Mam tu na myśli głównie grobowce ludzi walczących o niepodległość Polski. Nieliczne, niestety, grobowce mające szczególną wartość artystyczną powinny być wpisane do rejestru zabytków, podlegających trwałej ochronie. Warto się też zastanowić nad projektem powstania przy Zarządzie Cmentarzy Lubelskich specjalnej komisji, wyposażonej w odpowiednie uprawnienia, która zajęłaby się tą sprawą. Komisja ta mogłaby też z czasem wywierać wpływ na to, aby w przyszłości nowe nagrobki miały większą wartość artystyczną.

(Fotografował Andrzej Polakowski)

Jan bez ziemi

(Dokończenie ze str. 7)

się wykonawcą woli Jana, a kiedy Jan któregoś dnia powiedział: *„zbudujemy sobie nowy dom z cegły"*, a Mikołaj tylko głową kiwnął, było już jasne, kto tu jest prawdziwy gospodarz.

Ambasador

Jan Rychtłowski jest dziś tynkarzem. Zawieszony na paru deskach gdzieś między niebem a ziemią pacykuje LSM-owskie wieżowce. W swoim zachlapanym kombinezonie wygląda, jak prawdziwy proletariusz, co to *„dzisiaj nic, a jutro cały świat"*.

Niech was nie zmylą pozory — to ambasador potężnego 4-hektarowego mocarstwa. To nic, że smarka w dwa palce, przyjrzyjcie się tylko, z jaką powagą kroi swój chleb i swoją słoninę, kiedy tak przysiądzie w czasie przerwy. Posłuchajcie tylko, jak z nim rozmawia kierownik budowy, ile w kierowniczym głosie wtedy szacunku i bez mała podziwu. Kierownik zawsze mówi do niego „Wy", a nie jak do innych po nazwisku. Kierownik wie, że takiego pracowitego, jak Jan, nie prędko znajdzie.

Kiedy Jan mówi: *„Mam zboże"* albo *„Mam ziemniaki"* — to jest to nota dyplomatyczna. Wiadomo, że przez tydzień go nie będzie, choćby nie wiem, ile pracy czekało, choćby nie wiem, jak napięte były terminy. Ale też kiedy kierownik powie: *„To trzeba by jeszcze dzisiaj..."* to wiadomo, że Jan to zrobi, choćby nie wiem co. Taka jest między nimi niepisana umowa.

Zupełnie inaczej Jan rozmawia z ludźmi na budowie, a z ludźmi ze wsi. Na budowie mówi: *„Z samego zarobku nie użyjesz"*. Na wsi poucza: *„Bo wy, sąsiedzi, nie umiecie siać. Siejecie nie tam, gdzie potrzeba, głowę trzeba mieć... Głowę"*.

Jego brat, Mikołaj, w zeszłym roku też dostał nagrodę za buraki. Bez słowa połowę oddał Janowi. W tym roku na wiosnę obmurowali grób starego Rychtłowskiego, otynkowali go, jak należy, jak przystało na gospodarski grób...

Znam Jana od 2 lat. Jest drobny, tylko ręce ma olbrzymie i trochę chyba za długie. To, co nas łączy, można by nawet nazwać przyjaźnią. Ostatnio zaproszał mnie na wesele Mikołaja.

— *Nie będę* — powiedział — *dłużej za niego płacił alimentów. Bo to ja płacę z moich pieniędzy, co miesiąc. A baba w domu zawsze się przyda. Na drugi rok zaczniemy dom. Z balkonem, to będzie pierwszy balkon w całej wsi!*

Janusz Weroniczak

MARIAN BERKOWICZ

Ranek

Ciemność się rozrzedza
i chowa we wzruszeniu
oprzestrzenionym brzaskiem

Nie zapiszę tej chwili
powierzonej zamyśleniu rąk
ani zaufam milczeniu

Zatrzymany
nieboskłonem twoich oczu
poza murem
żywych
ludzi.

Stalowa Wola

JERZY FELIKSIAK

Fotografie

Fotografie oglądam jak karty.
Cień przegranej został na ich tle.
Może lepiej najpiękniejszą zakryć
i brać życie takim jakim jest.

Dawniej łudził jeszcze jakiś atut.
Teraz kłamie uśmiech damy
z kart.
po przegraniu nielicznych
przyjaciół,
dziś już tylko gram o własną
twarz.

Łódź

IRENA LECIEJEWSKA-ANCZARSKA

Poeta

Błądzi po omacku
dotyka czułymi palcami
dźwięku i kształtu
ślepiec
próbuje słów
szuka
jak strącić ciszę
słowo wzeszło prostym kosaćcem
w ręku zakwitło
myśl zwilża oczy
przewidział
wierszem

Warszawa

IRENA KOZIEJOWSKA

Nieśmiertelnik

Nieśmiertelnik —
zabalsamowane lato
z wnętrza wazonu — piramidy
patrzy i szydzi.
Pewnie nie wie, faraon kwiatów
z twarzą złotawą,
że strzęp wieczności,
którym go okryto
jest tak fałszywy,
jak życie nieśmiertelnych
ich pośmiertną sławą.

Lublin

STANISŁAW PAGACZEWSKI

Apteki prowincjonalne

w krętych konarach akacji
wśród kolczastych łupinek kasztanów
prowincjonalne apteki pełne czopków i maści na świerzb
domki żółte i różowe jak koszule w sklepikach z konfekcją

w noce zimne i puste
pod strażą pijanych parkanów
błądzą w nich magistry wśród słojów przezroczystych
w takt melodii gwizdanych przez wiatr w prętach wierzb

poematy z syropu, peruwiańskie balsamy
przez okienka się sączą przez uliczki z mgły
w pelargoniach kosmatych landrynkowe domy
z blaszanymi rynnami spadającymi w bzy

śmieszne apteki prowincjonalne — rynki posypane popiołem —
z dachów krople zielone — w kadziach ciężka rtęć —
pociągi dalekie na torach — światła i semafory —
zegary nad recepturami staroświeckie, chrome

księżyce w słojach grzebią długimi palcami
w dyżurnych pokoikach obrazki bardzo banalne
wichury przez pola pędzą po dalekiego doktora
grającego w brydża pod lampą z różowym abażurem

za lasami chaty samotne — w izbach mającą ludzie
o dłoniach brzęczących szkłem
myszy uciekły z piskiem spłoszone nocnym kaszlem
światła z okien na pole. Oczy piekące snem

śmieszne apteki prowincjonalne:
„Pod Walerianą", „Barankiem", „Lwem"...

Kraków

REPORTAŻ o molach gardzących futrami

(Dokończenie ze str. 5)

opasłe i zabieg ekstrakcji musi być powtarzany wielokrotnie. Oczyszczony jako tako wyciąg jest jeszcze „po drodze" wirowany, mieszany z fosforanem zasadowym i kwaśnym, aż wreszcie po odparowaniu zmienia się w proszek acetonowy. Zmieszanie owego proszku z wodą daje już gotowy wyciąg — produkt do dalszych doświadczeń i... postrach gruźliczych prątków.

Tu zaczyna się część druga naukowego przedsięwzięcia. W otrzymanym z niemałym trudem płynie pławi się Mycobacterium tuberculosis w ciągu kilkudziesięciu godzin, narażając na szwank ich woskowe otoczki. Ta przymusowa kąpiel prątków ma otworzyć drogę do ich wnętrza dla antybiotyków i sulfonamidów.

Zapewne właśnie do tego miejsca dobrnął w swych pracach profesor Metalnikow. Jego następcy w Zakładzie Fizjologii Roślin UMCS wzbogacili ideę rosyjskiego uczonego pomysłem niebywale istotnym — wprowadzili do eksperymentu środki bakteriobójcze.

Gwóźdź eksperymentu

Pokazują mi szeregi probówek na laboratoryjnym stole.

W kilku pierwszych umieszczono bakterie uczulone wyciągiem z mola woskowego i pozbawione swych ochronnych otoczek. Mimo zmniejszonej odporności, wysiane na pożywkę Santona, rozwijają się nadal bez przeszkód. Sam wyciąg nie zaszkodził im, jak widać, w sposób widoczny i nie przerwał procesu rozmnażania.

W następnym szeregu szklanych cylinderków znalazły locum prątki, którym oszczędzono kąpieli w rozpuszczającej wosk substancji. Zamknięte w swych pancerzach niewiele sobie robią z pokaźnych dawek antybiotyków dodanych do pożywki. Wszystko się zgadza — cieniutka osłonka nie pozwala na bezpośrednie działanie lęku i w probówkach nie dzieje się nic szczególnego. Mycobacterium tuberculosis rozmnażają się nadal.

Wreszcie „gwóźdź eksperymentu", — kolonie bakterii uczulonych wyciągiem z woszczyniaczka, poddane działaniu antybiotyków. Z niepokojem i drżeniem serca, przez długie tygodnie profesor obserwował rzędy probówek, w których na ciemnosłomkowej cieczy pływał cienki kożuszek bakterii. Kolonia jednak nie zwiększała się!

Na radosny okrzyk EUREKA jest jeszcze za wcześnie. Zbyt wiele luk zawierają dotychczasowe badania i zbyt dużo wątpliwości nasuwają ich wnioski. W postawionym do rozwiązania równaniu niewiadome mnożą się w sposób zastraszający, a każda z nich to setki dodatkowych eksperymentów i długie miesiące spekulacji.

PO PIERWSZE: nie wiadomo dotychczas, co właściwie w wyciągu z woszczyniaczka działa uczulająco na prątki gruźlicze, jaki czynnik pozbawia je woskowej otoczki i czyni podatnymi na wpływ antybiotyków i sulfonamidów. Dopiero znalezienie i wyodrębnienie tej tajemniczej substancji może otworzyć drogę do pełnego sukcesu.

PO DRUGIE: nie ustąpiono, czy wyciąg z mola w połączeniu z antybiotykiem lub sulfonamidem działa na prątki bakteriobójczo, czy tylko bakteriostatycznie. Słowem — zabija, czy jedynie wstrzymuje rozwój.

PO TRZECIE: pozostaje do ustalenia działanie wyciągu „in vivo", na żywym, zakażonym prątkami organizmie zwierzęcym. Czy wszystko będzie przebiegało podobnie jak w szklanej probówce? Czy nie pojawią się przykre niespodzianki wynikające z ubocznego działania wyciągu? A może bardziej zjadliwe szczepy bakteryjne w ogóle na niego nie zareagują?

Na radosny okrzyk EUREKA jest więc za wcześnie. Może przyjdzie na niego poczekać miesiące, a może całe lata... Profesor Adam Paszewski i jego współpracownicy wierzą jednak, że Gallerią mellonella spełni pokładane w niej nadzieje i zasłuży sobie na pomniki. Tyle pomników, ile sanatoriów przeciwgruźliczych, rozsiano dziś na całym świecie!

Andrzej Malinowski

KIELECKIE OSTY i chłosty

Draka z Birutą

Kiedyś sławny syn Ziemi Kieleckiej opisywał niezwykle sugestywnie swoje młodzieńcze randki przy „kamieniu i źródełku Biruty" w parku kieleckim. Dziś park ten nosi imię właśnie jego... Stefana Żeromskiego, a „kamień Biruty" zapadł się powoli pod warstwę ziemi, którą naniósł nań czas. Nie byłoby więc śladu, nie byłoby pamięci po romantycznym zakątku, gdyby kiedyś jeden z kieleckich dziennikarzy nie zaczął tego przypominać w audycji radiowej i nie zaapelował do ojców miasta o restaurację miejsca związanego z pamięcią po autorze „Popiołów". Odkryto więc źródełko, które dotąd cieknie spod zamkowej góry. Potem przez wiele lat trwała walka o dokumentację cembrowiny i otoczenia źródełka. Dziś historia „źródełka Biruty" stała się symbolem prawdziwie żółwiej pracy, jakoś dziwnie tam natrafiano na ogromne przeszkody. Niegdyś skromne źródełko, obudowano jako wielką sadzawkę, z myślą widać o turystach, którzy chętnie zachodzić tu będą gromadami i rzucać monety, by — podobnie jak to bywa w Rzymie, — mieć szansę powrotu znowu do stolicy Gór Świętokrzyskich. Obyczaj taki szerzy się już, mimo (a może, dzięki ?!) zakazu zanieczyszczania groszem, u stóp Łysicy, gdzie tętni „źródełko św. Franciszka". Grosz wpada, a wodę za karę piją turyści niżej — we wsi Święta Katarzyna, bo tam, właśnie dostarczana jest rurociągiem. Monety wyławiają chłopaki wiejskie, czerpiąc z tego nurkowania zyski, podobne południowym wyspiarzom. W Kielcach będąc, trzeba więc nastawić się na intensywne i dosłowne „wyrzucanie grosza" — są bowiem na trasie wycieczki aż dwa miejsca z podobnym „programem". A warto raczej przypomnieć, że tradycja zezwala na o wiele przyjemniejsze czynności przy „źródełku Biruty". Można się tam było bowiem niegdyś, niby pod „jemiołą" całować bezkarnie, bez ślubu itp. formalności. Chyba tego rodzaju atrakcja powitana byłaby przez wycieczkowiczów z większym entuzjazmem, tyle, że według obecnego stanu — nic nie wskazuje na to, by „źródełko Biruty" oddane zostało do turystycznej eksploatacji, w całej swej bardzo niestety, nieładnej krasie, — przed rokiem 2000!

R. Pod.

od BIEBRZY po BIESZCZADY

BIAŁYSTOK

◆ W muzeum regionalnym w Suwałkach można oglądać wystawę „Ochrona dóbr kultury w woj. białostockim w XX-leciu PRL". Wystawa będzie eksponowana także w innych miejscowościach.

◆ Białostocka Akademia Medyczna obchodzi 15-lecie swego istnienia. Dotychczas wydała ona 1815 dyplomów lekarskich, 111 osób otrzymało tytuły doktorskie, a 14 osób habilitowało się. Połowa absolwentów pracuje w województwie.

◆ Ćwierć mln zł otrzymały placówki kulturalne od Ministerstwa Kultury na zakup sprzętu — aparatów projekcyjnych, epidiaskopów, magnetofonów itd. Ale nikt nie pomyślał o tym, aby uczyć posługiwania się tym sprzętem.

KIELCE

◆ Na wystawie World Press Foto w Hadze już po raz drugi wystawia swoje prace red. Bronisław Duda z Radomia. Przed 2 laty jedna z jego prac została wyróżniona dyplomem burmistrza miasta.

◆ Klub „Merkury" w Kielcach, będący własnością handlowców, wpadł na godny naśladowania pomysł: raz w tygodniu lokal klubu jest oddawany w całkowite władanie młodzieży z technikum handlowego. Frekwencja młodzieży bardzo duża.

◆ Po wystawie plastyków z 4 sąsiadujących województw — Kielce mają wystawę etnograficzną z tych samych rejonów.

◆ Ukazał się nowy numer biuletynu kwartalnego Radomskiego Towarzystwa Naukowego, poświęcony problematyce i metodom badań regionalnych. Następne numery biuletynu oraz wydawnictwa książkowe są w przygotowaniu.

LUBLIN

◆ Sztukę Agnieszki Osieckiej „Niech no tylko zakwitną jabłonie" wystawił Teatr im. Osterwy w Lublinie. Reżyseruje Zbigniew Czeski, scenografia Liliany Jankowskiej.

◆ 12 aktorów i 340 przedstawień w roku, z tego 178 przedstawień w terenie, możliwie najdalej od utartych szlaków — to w olbrzymim skrócie praca lubelskiego Teatru Lalki i Aktora. Na bież. sezon przewiduje się 5 premier, w tym „Don Kichota z Manczy".

◆ Po dłuższej przerwie wznowił działalność Teatr Ziemi Chełmskiej, wystawiając „Ich dwoje" Romana Niewiarowicza. Na premierę w nowym, pięknym domu kultury przybyło, niestety, tylko kilkadziesiąt osób.

◆ 16 października odbyła się inauguracja roku akademickiego w Wyższej Szkole Inżynierskiej, przekształconej z Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. Uczelnia ma w tej chwili 1000 studentów, w perspektywie do 6 tys.

◆ W Biłgoraju 13 października odbył się pogrzeb na koszt państwa Józefa Pieczonki. Częściowo za życia, częściowo w testamencie przeznaczył on ponad 3,5 mln zł oraz 30 tys. dolarów na budowę szkół w powiecie. Był on górnikiem w Kanadzie, skąd przed kilku laty wrócił do kraju.

RZESZÓW

◆ 360 klubów „Ruchu" i 150 klubów „Rolnika" działa już w województwie. Do końca roku ma być łącznie 600 placówek. W 218 klubach istnieją punkty biblioteczne, co jednak nie wyczerpuje możliwości i potrzeb.

◆ W Białobrzegach, pow. Łańcut, z inicjatywy nauczycieli, młodzież zaczęła zbierać eksponaty do muzeum regionalnego. Zebrało się tego tyle, że 300 eksponatów przekazano do muzeum w Łańcucie.

◆ Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu łącznie z tamtejszym muzeum zorganizowało 13 i 14 października sesję naukową pt. „Przemyśl i Ziemia Przemyska z zarania dziejów". Wybito nawet własny medal 1000-lecia.

◆ Wydział Kultury Prez. WRN wydał w roku ub. 16 tys. zł na pomoc towarzystwom naukowym. W roku bieżącym dotacje osiągną już około 300 tys. zł.

Naprawdę biała

(Dokończenie ze str. 4)

na prace konserwatorskie i, niestety, cała impreza upadła. W Powiatowym Domu Kultury mówią mi, że chłopcy często pytają o swego „mistrza", nie wątpię więc, że coś dobrego rzeźbiarz po sobie zostawił.

Poważne osiągnięcia w pracy z młodzieżą ma także PDK. Mimo bardzo złych warunków lokalowych działają tu zespoły instrumentalne, zespół teatralny, koło plastyków, ekipa filmowa często wyjeżdża na wieś z filmami i prelekcjami. Szkoda tylko, że PDK dysponuje trzema niewielkimi pokojami, a nie salami z zapleczem. Powstał wprawdzie społeczny komitet budowy domu kultury, ale nie ma on łatwego zadania, bądź co bądź koszt budowy wyniesie około 5 milionów złotych...

Jakie wysiłki?

Biała Podlaska ma dobrych gospodarzy. Fachowcy, ludzie doskonale znający teren swego działania, cieszący się dobrą opinią ludności. Nie mogą jednak własnymi środkami podołać wszystkim trudnościom, jakie w swej pracy napotykają, są bowiem takie — często nieprzezwyciężalne — które mają źródło w decyzjach niektórych wydziałów Wojewódzkiej Rady Narodowej. Dotyczą one głównie spraw powiatu bialskiego. Oto — przykładowo — kilka problemów, których rozstrzygnięcia budzą wiele zastrzeżeń...

— *Dla poprawienia stanu hodowli w powiecie konieczne są nowe obory* — mówi przewodniczący PRN, Tadeusz Marks. — *Są kredyty, jednak nie mamy dostatecznej ilości materiałów budowlanych, zwłaszcza cegły. Tymczasem cegielnię w Chotyłowie, produkującą 6 milionów sztuk cegieł rocznie, rozbudowuje się tylko tak, aby produkowała o milion sztuk więcej, chociaż przy niewielkim zwiększeniu nakładów można produkcję podwoić...*

Od siebie mogę dodać, że przedziwnie wygląda rozdział produktów Chotyłowa. Otóż 70 proc. produkcji kieruje się do innych powiatów, a tymczasem do powiatu bialskiego cegłę przesyła się z innych województw. Komu się to opłaca?

Inna sprawa. Oto z książki pt. *„Lubelszczyzna w Dwudziestoleciu"* cytuję fragment artykułu o Białej Podlaskiej: *„Uprawa roślin przemysłowych zajmuje tylko 1%. Ale w ostatnich 2 latach czyni się duże wysiłki celem zmiany tej sytuacji, wprowadzając m. in. uprawę tytoniu..."*

Wydziale Rolnictwa WRN! Jakież to wysiłki się czyni, skoro z kontraktowanych w 1951 r. 300 ha tytoniu, w roku 1965 — na usilne prośby PRN — pozostało 20 ha? Tytoń na Podlasiu świetnie się udaje, wielu chłopów posiada suszarnie, a tymczasem kontraktację tytoniu uparcie się ogranicza. Po co ją propagować np. w zamojskim, gdzie doskonale udaje się pszenica?

Mieszkańcy powiatu bialskiego są chyba w maksymalnym stopniu zróżnicowani, jeśli chodzi o tradycje, pochodzenie i wyznania. Są tu wioski z wieloma mniejszościami narodowymi, stare szlacheckie zaścianki, są wsie zamieszkałe przez — jak ich tu nazywają — „Olendrów", chłopów, którzy tylko zimy spędzają w domu, zaś wiosną wyruszają na wędrówkę z końmi i wozami, uczestnicząc w niemal wszystkich ważniejszych budowach w Polsce. O mieszkańcach Podlasia dużo opowiada mi na zakończenie mego pobytu w Białej Podlaskiej jeden z jej mieszkańców, gorący miłośnik wszystkiego co z tą ziemią się wiąże, Jerzy Sroka. Oglądam znalezione przez niego listy Jana Kazimierza do szlachty podlaskiej, inne stare pamiątki. Jerzy Sroka jest autorem książki pt. *„Biała Podlaska — Dawne dzieje i przeszłość — Dwudziestolecie Polski Ludowej"*, którą Wydawnictwu Lubelskiemu szczególnie polecam. Że na Podlasiu będzie bestsellerem — to pewne...

Tak powiat, jak i jego stolica, niegdyś potężne gniazdo Radziwiłłów, Biała Podlaska, zmierza ku dobrej przyszłości. Gwarantuje to gospodarność i troskliwość jej mieszkańców, oraz mądre władze...

Wiesław Sadurski

Z Chełma nad Odrę

(Dokończenie ze str. 4)

czerwca 1945 r. (a więc jeszcze przed konferencją w Poczdamie i oficjalnym przekazaniem Polsce dawnych wschodnich prowincji Niemiec) wyjechało z Lubelskiego na Ziemie Zachodnie 15 tysięcy osób, w czerwcu w ich ślady poszło ponad 27 tysięcy, w lipcu — 41 tysięcy. Lipiec był miesiącem największego nasilenia migracji, które poczynając od sierpnia wykazywały już tendencje spadkowe. W sierpniu przesiedliło się jeszcze 17,5 tysiąca osób, we wrześniu — już tylko 5,5 tysiąca. Była to zresztą tendencja powszechna, wynikająca z malejącej atrakcyjności Ziem Zachodnich, gdzie coraz mniej było nie zdewastowanych niemieckich nieruchomości, nie mówiąc już o ruchomościach. Perspektywa szybkiego i łatwego wzbogacenia się ustępowała miejsca ogromnym trudnościom, jakie pokonać musieli osadnicy. Owe trudności powodowały, że ludzie słabsi, nie nastawieni na ciężką pracę i walkę z wieloma przeciwnościami, woleli powrócić, a po powrocie rozsiewali wieści, które powstrzymywały innych. Powrotną falę, która w skali ogólnopolskiej objęła w 1945 roku około 500 tysięcy osób, notowano także w Lubelskiem. Jeśli zaś porównać liczbę osadników pochodzących z terenu województwa, a zamieszkałych na Ziemiach Zachodnich w grudniu 1950 r., tj. w momencie przeprowadzania powszechnego spisu ludności z liczbami wyjeżdżających zarejestrowanych przez PUR, nawet nie licząc około 50 tysięcy osób, które miały wyjechać bez pośrednictwa tego urzędu, różnica wyniesie ponad 80 tysięcy — na tyle właśnie należy oceniać falę powrotną. Narodowy spis wykazał 238 746 osób, opierając się natomiast na statystyce PUR należy wnioskować, iż wyjechało 320 tysięcy osób: 150 tysięcy w 1945 r., reszta w latach następnych. Graficzny wykres migracji nie wyglądałby jednak jak krzywa jednostajnie opadająca. Kiedy w 1947 r. po przejściowym zakazie osiedlania rolników pochodzących z tzw. ziem dawnych, w indywidualnych gospodarstwach na zachodzie wznowiono tę formę osadnictwa, nastąpiło ponowne ożywienie wyrażone liczbą bez mała 66 tysięcy osób, które wyjechały z Lubelszczyzny na zachód.

Osadnictwo spółdzielczo-parcelacyjne, które poczęto organizować w maju 1946 r. cieszyło się bez wątpienia mniejszą popularnością niż osadnictwo w indywidualnych gospodarstwach rolnych. Obejmowało ono zwarte grupy, które miały przejmować majątki poniemieckie i gospodarując zrazu na zasadach spółdzielni najdalej w ciągu 5 lat przygotować majątek do parcelacji. Lubelszczyzna wprawdzie odbijała pod tym względem korzystnie w stosunku do innych dzielnic Polski i tu jednak pęd do osadnictwa spółdzielczego pozostał daleko w tyle za nasileniem migracji na samodzielne gospodarstwa. Wynikało to z wielu przyczyn, wymienić starczy najważniejsze: z jednej strony bardzo zły stan zagospodarowania majątków i ogromne trudności życia osadników, z drugiej zaś nieufność do form zespołowej gospodarki, nawet traktowanej przejściowo.

Kilka tysięcy osób — blisko siedem — wyjechało także z Lubelszczyzny angażując się do pracy w Państwowych Nieruchomościach Ziemskich na Ziemiach Zachodnich. Miało to duże znaczenie ekonomiczne i polityczne, poczynając bowiem od 1946 roku sytuacja w poniemieckich majątkach była jedną z najpoważniejszych trudności na tych terenach. Wobec przewidzianego ostatecznie na 1947 rok zakończenia przesiedlania ludności niemieckiej i niedostatecznych wyników osadnictwa spółdzielczego, co spowodowało, że w ręku państwa zamiast przewidzianego miliona hektarów pozostały 2 miliony, zarysowała się groźba braku rąk do pracy, pozostawienia setek tysięcy hektarów odłogów, a tym samym ekonomicznej katastrofy rolnictwa.

Próbując ogólnego bilansu udziału Lubelszczyzny w zaludnieniu i zagospodarowaniu Ziem Zachodnich, wypadnie stwierdzić, że ponad 10% mieszkańców Lubelszczyzny znalazło ziemię, chleb i pracę na terenach, które Polska uzyskała po wojnie. Nie można przecież jednostronnie traktować ruchu przesiedleńczego na Ziemie Zachodnie tylko jako wkładu w ich zasiedlenie, zagospodarowanie. Była to jednocześnie olbrzymia szansa dla terenów, jak wówczas czasem mówiono „kolonizujących" uzdrowienia struktury agrarnej, pełnej likwidacji przeludnienia rolniczego.

Krystyna Kersten

Kamena

Dwutygodnik społeczno-kulturalny. Redaguje Kolegium: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mikulski, Jerzy Pieśniarowicz, Stefan Woiski. Wydawca: Oddział Lubelski Związku Literatów Polskich. Adres redakcji i administracji: Lublin, ul. Graniczna 7. Telefon 2-34-49. Redakcja rękopisów nie odsyła. Warunki prenumeraty: kwart. zł 12, półroczna zł 24, roczna zł 48. Zamówienia i przedpłaty przyjmują wszystkie urzędy pocztowe i listonesze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Ruchu", zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Ruchu". Prenumerata przyjmowana jest od 1 do 15 dnia miesiąca poprzedzającego okres, na który dokonywa się przedpłaty. Prenumerata za granicą: kwartalnie zł 18,00; półrocznie zł 36,00; rocznie zł 72,00. Zamówienia i wpłaty przyjmuje PKWZ „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23. Nr konta PKO 1-6-100024 oraz „Ruch" Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Lublin — Unieka 4.

Zam. 3407 28.X.65 H-4

Odpowiedzi Redakcji

W. K. w Starachowicach. Możemy nawet przy końcu br. przyjechać do Starachowic na spotkanie z Waszą grupą poetycką i przedyskutować Pana pomysł. Jeden z Pana utworów wydrukujemy, prosimy jednak o cierpliwość.

K. T. w Krakowie. Może coś wydrukujemy.

E. S. w Białymstoku. Z nadesłanych utworów najbardziej podobają nam się „Zaduszki". Sądzimy, że po pewnym czasie umożliwimy Panu debiut. W tej chwili mamy zbyt wiele zobowiązań. Prosimy w przyszłości znów się odezwać.

S. M. w Radomiu. Otrzymaliśmy z Radomia dwie przeciwstawne recenzje z „Pigmaliona". Wobec tak dużej różnicy sądów uważamy, że najlepiej będzie, jeśli do Radomia pojedzie nasza stała recenzentka i napisze o miejscowym teatrze.

„Joe". Oto jedna Pana „wierszowana strofa": **„Szczęśliwy kto dzieckiem zawsze się czuje i z wielkim szacunkiem dłoń matki całuje".** Sądząc po pana „twórczości" musi Pan być bardzo szczęśliwy.

J-ski w Morągu. Odpowiadamy w tej rubryce, gdyż trudno nam odpisywać na każdy list. Znamy Pana wiersze: dużo lepsze niż nadesłane fraszki.

J. K. w Pińczowie. Cytujemy Pana wiersz pt. „Życie": **„okruch czasu rzucono w twarz z epilogiem śmierci mam odwalać ośmiogodzinny margines i szpecić karty potokiem przeciętności lecz co zrobię gdy mi nie wystarczy kromka chleba smarowana świadomością szarości?"** W innym znów utworze stwierdza Pan: **„czczę ideały ciskam w kąt jak śmiecie trzeźwym wglądem wniknąć chcę w życie by rozsądny cel wykuć".** Jeśli będzie Pan „odwalać ośmiogodzinny margines" trudno przypuszczać, by mógł Pan **„trzeźwym wglądem"** wniknąć w życie i **„rozsądny cel wykuć".** Poza tym, aby napisać wiersz, nie wystarczy się pozbyć dużych liter, kropek, przecinków itd. Dziwne, że oszczędził Pan znak zapytania?

B. Z. w Rzeszowie. Jedyne, co moglibyśmy w tej chwili dla Pana zrobić, to wydrukować jeden z wierszy w rubryce **„Odpowiedzi Redakcji".** Jeśli powykreśla Pan ze swoich utworów wyświechtane zwroty („świat płacze ciężko", „szyby zamazane są kroplami", „w smutnej melodii, jesiennej melodii", „żmudny chleb w kiosach", „odwieczny upływa czas oddzielany podziałką zegara") — co pozostanie? Prosi Pan, abyśmy napisali prawdę. Niestety, nie jest ona przyjemna.

F. S. w Rzeszowie. Wiersz, aczkolwiek treść jest tragiczna, nie ma wartości literackich. Zainteresowały nas Pana rzeźby. Postaramy się je obejrzeć.

R. Z. w Sandomierzu. Żaden z Pana utworów nie nadaje się jeszcze do druku w „Kamenie", ale znajdujemy w nich okruchy poezji. Nie radzimy się więc zniechęcać.

B. S. w Zwierzyńcu. Jeden z Pana wierszy: **„Pytasz: kochasz? Odpowiem: nie można tak pytać. Zapytasz: dlaczego? Powiem: jesteśmy bardzo młodzi".** Rzeczywiście: Pana „utwory" to potwierdzają.

„Cumys". Przesyła Pan opowiadanie i stwierdza: **„Może za dziesięć lat będę pisał lepsze".** Dlaczego wyznacza Pan aż tak długi termin? Prosimy o ujawnienie się i osobiste skontaktowanie z redakcją.

Zwierzyniec literacki

Kocha, lubi, szanuje... *Rys. W. Fuglewicz*

NOTY

BRYTYJSKI tygodnik „New Statesman" opublikował wstrząsający list, jaki jedna Amerykanka otrzymała od swego brata, 28-letniego spadochroniarza walczącego w Wietnamie. Opisuje on, jak wygląda pacyfikacja: „Spadochroniarz podchodzi do słomianej chaty i (...) powiada: — Daję wam 10 sekund, a potem wysadzę tę przeklętą norę w powietrze. Patrzy na zegarek i po 10 sekundach rzuca ręczny granat i podpala chatę. W tym momencie nadchodzę ja i idę z naszym kapitanem koło płonącej chaty. On zwraca się do mnie i powiada: — Tam chyba jeszcze ktoś żyje, czy słyszysz jęki? Słyszę, więc zatrzymujemy się i zaglądamy. Czworo zabitych dzieci, trzy-czteroletnich. Wyciągnęliśmy małą dziewczynkę z dziurą wielkości monety w głowie, a kiedy wynosiłem ją z płomieni widziałem, jak życie z niech ucieka. Umarła po piętnastu minutach. Powiedziałem, tym ...synom, co o nich myślę..."

Niektórzy żołnierze amerykańscy w Wietnamie zachowali ludzkie odruchy, ale kiedy czytamy opisy akcji pacyfikacyjnej w Wietnamie południowym stają nam przed oczyma ponure obrazy z pacyfikacji Zamojszczyzny przez hitlerowców. Z jednej strony zdjęcia Marsa, z drugiej — mordowanie dzieci. Ameryka roku 1965.

ADAM MACEDOŃSKI opublikował w 1072 n-rze „Przekroju" poemat dokumentalny pt. „Nazewnictwo i cennik bólu". Tadeusz Zuber, który w „Przekroju" stale opracowuje rubrykę „Kupić nie kupić", ma groźnego konkurenta. W tymże samym numerze na 1 stronie zdjęcie pana Adama obok Dawida — Michała Anioła. Podpis przecina rzeźbę, chyba nieprzypadkowo, na dwie części.

„KURIER LUBELSKI" kontytuuje zdecydowaną walkę... przeciw cudzysłowom, które zupełnie zniknęły z gazety. Podobny los spotka zapewne i przecinki, z którymi „Kurier" ma ciągłe kłopoty.

TEODOR LEONARD MŁYNARSKI, redaktor naczelny pisma kulturalno-społecznego, wychodzącego w Ciechanowie — „Pięć rzek" w ostrych słowach odpowiedział na „paszkwil Malcherka" zamieszczony we „Współczesności". Dostało się nie tyle może Malcherkowi, ile samej „Współczesności". Red. T. L. Młynarski życzy pismu takiego rozkwitu, jaki w swej historii przeżyło „Pięć rzek", które w 1960 r. osiągnęło nakład 96 500 egzemplarzy (rocznie?). Nie zabierając głosu w sprawie meritum „sporu", warto zanotować, że red. T. L. Młynarski dostarczył nowej amunicji Malcherkowi cytując w replice fragment swego poematu pt. „Ciechanów". „Patrząc się w dzień na ulicę Ciechanowa, Miasto przypomina kontur ośmiornicy..." Polszczyzna — obczyzna!

„KAMENA" zwróciła się z propozycją wymiany czasopism do „Nadodrza", „Poglądów" i „Nurtu". Redakcja „Poglądów" ustosunkowa się pozytywnie, redakcje „Nurtu" i „Nadodrza" wogóle nie raczyły odpowiedzieć na nasze listy. Wyczerpano już fundusz przeznaczony na opłaty pocztowe?

„ŻYWOCIK LITERACKI" zwraca uwagę na fakt, że recenzje teatralne w prasie krakowskiej piszą... archeolodzy. Archeolodzy, gdyż recenzje ukazują się niekiedy wówczas, gdy sztuki schodzą ze scen. Przeglądając prasę ogólnokrajową odnosi się wrażenie, że wielu mamy archeologów na etatach dziennikarskich!

Z FINLANDIĄ nasi piłkarze wygrali 7:0. W meczu z Włochami padło też siedem bramek, choć jedną z nich strzelili Polacy. A już co niektórzy bardziej romantyczni sprawozdawcy sportowi marzyli (po Szczecinie) o zwycięstwie na Stadionie Olimpijskim. Rzeczywistość przekreśliła te plany. W Rzymie nie było polskiej obrony. Nie było polskiego ataku. Komentator radiowy tak się tym przejął, że w sprawozdawczym ferworze mówił o Włochach... zawodnicy niemieccy. Dlaczego nie... hipszańscy lub brazylijscy?

MAJ

Tak było...

Abecadło i hieroglify

Pod tym tytułem ukazał się w 1937 roku na łamach największego wówczas dziennika „Ilustrowanego Kuriera Codziennego" coniedzielny felieton znanego sanacyjnego publicysty, ZYGMUNTA NOWAKOWSKIEGO, napisany przez niego specjalnie z okazji obchodzonego wtedy w Polsce „Tygodnia Książki". Felieton ten przedrukowujemy bez zmian i bez komentarza. Ten ostatni dopowie sobie czytelnik sam. Zresztą, jak się przekonamy po przeczytaniu, wyręczył nas Nowakowski.

„Chcą, żebym napisał rodzaj odezwy w sprawie zwalczania analfabetyzmu. Według pierwszego spisu ludności Polska ma 5.585.221 dorosłych analfabetów po wsiach i 955.972 po miastach. Razem 6.541.193... Cyfr drugiego spisu Rocznik Statystyczny nie podaje. Dlaczego? Prawdopodobnie żenuje go to.

Maturzystka seminarialna obejmuje posadę niańki. Przy sześciu milionach analfabetów nie ma miejsca dla nauczycielki! Nie sądzę, aby cokolwiek mogło lepiej charakteryzować stan oświaty w Polsce, jak ten paradoks, jak to zestawienie dwóch faktów. Przyrzekłem kiedyś solennie, że już nie będę nadużywał imion świętych i tym podobnych inwokacji, tym razem jednak nie mogę wytrzymać i wielkim głosem chciałbym krzyknąć ***„Rany boskie! Sześć milionów nie umie czytać!!!***

Wkrótce będziemy obchodzić dwudziestą rocznicę niepodległości. I przez dwadzieścia lat... Podcrwało mnie od maszyny prosto pod wodociąg. Zimna woda robi czasem dobrze. Więc spróbujmy na zimno, na spokojnie. Samo narzuca się pytanie: co robiliśmy przez tych dwadzieścia lat? Czym legitymujemy się?! Nie! O tym nie da się pisać spokojnie! Chwyta jakaś astma. A może nie astma, ale po prostu wstyd? Palący wstyd!

Przedmurze zachodniej cywilizacji... Twierdza kultury na progu Azji... I cała ta kupa wyświechtanych frazesów, ta fanfaronada, ta blaga, którą bujamy siebie! Ten „Pan Tadeusz", który w jubileuszowym roku dotarł wreszcie pod strzechy... Albo sławetny „Tydzień Książki", obchodzony uroczyście z muzyką, z transparentami, w kraju notorycznych analfabetów.

W najnowszym programie wykładów Uniwersytetu Warszawskiego figuruje egiptologia. Profesor zapowiedział czytanie hieroglifów na dwie szychty: dla początkujących i dla zaawansowanych. (Oprócz egiptologii jest i sinologia!...). Proroczym okiem widzę już salę wykładową: dwie, może nawet trzy zaawansowane osoby bawią się za drogie pieniądze w Champollionów. Równocześnie dla sześciu milionów zwyczajne abecadło to... hieroglify.

Kwiatek przypięty do zawszonego kożucha. Można by nawet powiedzieć — och, brzydkie, paskudne, ale jedyne czasem słowo — można by powiedzieć, że to jest zwyczajne hochsztaplerstwo. Na głowie mamy lśniący, niepokalany cylinder, ale z butów wyłażą nam palce, ale portki opadają w strzępach.

W upiornym świetle sześciomilionowej cyfry zaczynam inaczej patrzeć na rozmaite fakty z dziedziny rozwoju naszej oświaty i szkolnictwa. Myślę o reformie studiów akademickich, o liceach, o przeoraniu wszystkich programów, myślę o tych „najpilniejszych" zadaniach dokonywanych w pośpiechu, na gwałt. Myślę wreszcie o tym, co niejako wieńczy, koronuje całe dzieło: o Akademii Literatury. Ona stoi na szczycie, fundament zaś tej rozległej budowli stanowi sześć milionów analfabetów!

Staraliśmy się o deser, o wety, ale o kawałku zwykłego razowego chleba, którym zaspokoić można głód, nikt nie pomyślał.

Egiptologia nam była potrzebna!

Otwieram znakomitą, niezmiernie oryginalnie ujętą encyklopedię „Świat i życie". Pierwsza pozycja to właśnie abecadło. Czytam: „Wszyscy od lat najmłodszych mamy do czynienia z abecadłem i wyraz ten jest dla nas tak pospolity, że...".

Encyklopedia jest doskonała, ale jej pierwsze zdanie to wierutne kłamstwo. Co słowo to fałsz! Wcale nie mamy do czynienia z abecadłem od najmłodszych lat! Wyraz „abecadło" nie tylko nie jest pospolity, ale nieznany, wręcz obcy dla przygniatającego odsetka mieszkańców".

* * *

Tak było, taki był obraz dni oświaty w roku pańskim 1937, na krótko przed tamtym dwudziestoleciem.

W. K.

OPOWIADANIA KULINARNE (z dreszczykiem)

WSPÓŁCZESNA Europa jest regionem pracy i wysiłku — wielkie karnawały i nieodłączne od nich bale należą do przeszłości. Dziś zastąpione zostały one dancingiem, a taniec stał się niemal sportową rozrywką mas. Oczywiście w godzinach i dniach wolnych od pracy.

Żyją jednak jeszcze ludzie, którzy pamiętają epokę długotrwałych karnawałów (zimowych i wiosennych) i wielkich balów wydawanych przy różnych okazjach.

Słynny Kongres Wiedeński zwołany po pogromie Napoleona przez zwycięskie państwa stał się długotrwałym, wielomiesięcznym... dancingiem i do historii przeszedł pod mianem Tańczącego Kongresu. Było to pasmo nieustannych balów i przyjęć, a najważniejsze polityczne sprawy często załatwiano właśnie w trakcie tych wielkich potańcówek.

Trudno sobie dziś wyobrazić np. chociażby jedną sesję ONZ, którą nazwano by tańczącą.

Tradycja tych balów przetrwała prawie do pierwszej wojny światowej a ośrodkiem jej były dwory królewskie i wielkie magnackie rezydencje. Za ich przykładem szła finansjera i bogate mieszczaństwo.

Nas będzie dzisiaj interesować zagadnienie bufetu i działów kulinarnych na tych balach i przyjęciach. Co i jak jedli goście. A trzeba podkreślić, że nie były to imprezy towarzyskie dla małego ścisłego grona. Udział w tych balach i przyjęciach brały setki i tysiące zaproszonych. Były to więc zagadnienia zbiorowego żywienia — jak to my dzisiaj nazywamy — według nomenklatury społecznej.

Dokumentami naświetlającymi te sprawy są pamiętniki i wspomnienia zarówno fachowców kulinarnych jak i uczestników — gości.

W „Kuchni polsko-francuskiej", której autorem jest Antoni Teslar, kuchmistrz br. Andrzeja Potockiego z Krzeszowic, b. namiestnika Galicji, znajdujemy opis balów Namiestnictwa. Np. bal w Namiestnictwie w 1907 r. Zaproszonych 1600 osób. Zorganizowany bufet był zaopatrzony następująco: 3200 kanapek różnych, 20 wózków pasztetu sztrasburskiego, 20 szynek a'l'imperial, 20 półmisków gâteau z zajęcy, 20 cielęcin a la reine, 30 dużych kaczek a la Jockey - Club pieczonych w chlebach. 10 półmisków tournedos grilles na papugach, 10 półmisków chaud — froid z kwiczołów, 20 półmisków łososi w majonezie, 20 półmisków bażantów pieczonych, 10 półmisków combrów sarnich, 40 salater sałat zimowych. 20 naczyń kamiennych z sosami, 20 waz kompotów, 40 tac ciast różnych. Ponadto cukry, owoce i lody. Orszady i lemoniady. No i wina różnorodne w odpowiedniej ilości.

Na tymże balu odbyła się kolacja gorąca dla zaproszonych. Udział w niej wzięło tylko... czterysta osób. A oto menu. Consomme [illegible]sconne (rosół [illegible] z [illegible] [illegible] nadzie[illegible] farsz[illegible] [illegible] cielęce [illegible] z homarami. Rozpływniki z bażantów. Kaczki po królewsku. Sałaty, kompoty. Millofolo (specjalne danie słodkie z ciasta genoise nasycone ponczem z kremem pistacjowym i galaretką ponczową).

A na najwyższym szczeblu tej feudalnej drabiny, to jest na dworach królewskich?...

Przykładem jest obiad wydany przez cesarza Franciszka Józefa na cześć cara Mikołaja II i jego małżonki, jesienią 1896 roku.

Podkreślić trzeba, że wizyta cara rosyjskiego była pierwszą od wielu lat, od Kongresu Wiedeńskiego i wizyty Aleksandra I.

Obiad odbył się w sali ceremonialnej Burgu. Zaproszonych było ponad 300 osób. Organizacja tak doskonała, że każdy z gości był bezbłędnie kierowany na swoje miejsce, a podawanie potraw biło rekordy szybkości i sprawności. Była to organizacyjna żonglerka.

Treść tego galowego obiadu? Oto spis potraw. Bulion Królewski. Langusty w majonezie. Medaliony z turbotów. Pstrągi na niebiesko. Przepiórki w galarecie. Jagnię po turecku. Trufle w ptysiowym cieście. Kapłony styryjskie. Karczochy w ostrym sosie. Sałata rosyjska. Chłodnik z czereśni. Masa migdałowa. Ser Roquefort. Mrożone napoje aromatyczne.

Przystawek i wódek na wstępie nie podawano. Był to zwyczaj rosyjski, który dopiero później stał się modny. Za to wina były najwyższej jakości.

P. Bogdanowicz, szambelan dworu wiedeńskiego, zapewnia, że przy deserze podawano tokaj z pierwszych lat panowania Marii Teresy (połowa XVIII wieku), a przy czarnej kawie szampan z czasów Napoleona I, kiedy przebywał w Schönbrunnie.

Cóż temu można przeciwstawić w naszych radosnych czasach? Chyba dobre zsiadłe mleko z młodymi kartofelkami i zieleniną.

Na pewno zdrowsze, [illegible]

W. G.

OD REDAKCJI: Myślimy, że W. G. przedstawi teraz dla kontrastu, jak wyglądał jadłospis chłopa pańszczyźnianego w tamtych „radosnych czasach". Tego typu „opowiadanie kulinarne" nie zajęłoby chyba więcej niż trzy wiersze druku...

Jak ustrzec się cholery?

AUTOMOBILE DLA RANNYCH. Względnie dość późno zmiarkowano, że automobile służyć mogą wybornie dla przewożenia rannych podczas wojny. Na ten tak prosty pomysł wpadli Niemcy i podczas ostatnich wielkich manewrów jesiennych kilku korpusów armii niemieckiej uwijały się już wielkie automobile, pełniące służbę sanitarną. Jednocześnie puszczono w ruch podwójne bicykle, złączone ze sobą drągami, podtrzymującymi posłanie dla rannych, przewożonych z placu boju do ambulansu. Obsługa automobilowa i bicyklowa szła sprawnie...

POD ZNAKIEM AEROPLANU. Świat dziś cały jakby wstąpił [illegible] aeroplanu. A[illegible] [illegible]rawiana [illegible] si[illegible] mówi i pisze. Popisy i wyścigi awiatyczne na porządku dziennym. Potrzeć tylko, jak wydoskonalony aeroplan zmieni gruntownie nasze dotychczasowe środki i sposoby komunikacyi i, tem samem zajmie swą postacią niezwykłą miejsce wybitne w dotychczasowych świata — krajobrazach. Wyobraźmy tylko sobie np. niebo z sylwetką aeroplanu na tle chmur lub pogodnego zachodu słońca... Owóż i obrazy batalistyczne, które odtąd malowane będą, otrzymają całkiem nowy motyw, mianowicie unoszące się nad walczącymi wojskami aeroplany...

DZIELNE JAPONKI. Kobiety w Japonii, osobliwe dziewczęta, wzięły się nie na żarty do ćwiczeń cielesnych. Zagustowały jednak najbardziej — w fechtunku. Wielkie też ćwiczenia publiczne — w opancerzeniu odpowiednim! — odbywają się po całej Japonii. Ładne to i oryginalne widowisko...

MODA MĘSKA. Ma też swoje fantazje, tylko mniej gwałtowne, niż moda niewieścia. Ton modzie męskiej nadaje do dziś dnia Londyn. [illegible] Gors ko[illegible] do fraka [illegible] nieco sz[illegible]szy, niż do niedawna jeszcze; guzik jeden tylko. Guziki u mankietów na łańcuszkach. Papierośnica najmodniejsza ze srebra oksydowanego. Złota i klejnotów jak najmniej. Frak wcięty w talii. Czarny kolor materyału frakowego nabiera odcienia granatowego, co zdaje się znów zapowiadać powrót fraków kolorowych. Palto fasonu „cloche", obszerne, swobodne, ze skośnemi kieszeniami. Laska nieco dłuższa, niż zazwyczaj, z rączką w kształcie złotej kuli...

OGŁOSZENIA, REKLAMA. Fajerwerki, latarnie do iluminacji, kotyljonowe przybory, confetti, serpentiny, monglofiery oraz witraże do okien i filtry do wody — magazyn francuski (Brega 8).

Pastylki BELLOC'A są nadzwyczaj skuteczne dla uchronienia się od epidemii cholery. Do nabycia we wszystkich aptekach...

Operę, operetkę — koncert, wieczór śmiechu można mieć w domu, nabywając ulepszony gramofon z drewnianą tubą wyrobu angielskiego. Bogaty asortyment instrumentów muzycznych, strun do przyborów tylko z najcelniejszych źródeł poleca: skład instrumentów muzycznych i ulepszonych gramofonów, B. Rudzki Marszałkowska 87.

ODPOWIEDZI REDAKCJI: Stałemu czytelnikowi Tygodnika: legitymowanie się ze szlachectwa jest z powodu różnych formalności rzeczą dość zawiłą i trudną i wymaga koniecznie pomocy specjalisty.

Pani Cecylii K.: Wiersz Pani bardzo słaby, i to jeszcze BEZ RYMU: Tak już poezyi pisać NIE wolno!

Z „Tygodnika Ilustrowanego" [illegible]

wybrał
Kazimierz Postulski

1910

Czy już zaprenumerowałeś „Kamenę" na rok 1966?